



-93-



OGRÓD
ŻYCIA

8. IX. 1836

HENRYK ZBIERZCHOWSKI
LAUREAT NAGRODY LITERACKIEJ M. LWOWA



OGRÓD ŻYCIA

P O E Z J E

L W Ó W — W A R S Z A W A
KSIĘGARNIA POLSKA BERNARD POŁONIECKI



CM 314368

CZCIONKAMI DRUKARNI IGNACEGO JAEGERA WE LWOWIE
UL. SYKSTUSKA 33 — TELEFON 205-15

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr /2011/ CM.....

NIEWÓD TĘSKNOTY

INWOKACJA

Kocham Cię Lwowie, miasto mej młodości,
Która się dotąd w moich żyłach pieni,
Bom krew z krwi twojej i kość z twojej kości,
Bośmy na wieki z sobą połączeni
I coś do serca mego sobie rości
Najlichszy z bruku twojego kamieni,
Który źrenicą całowałem jasną
I wydeptałem stopą swoją własną.

I nieraz pytam, dokąd mi iść, dokąd,
Gdy już widziałem tyle świata stolic
I ani uśmiech uwodzący Giocond,
Ni czar przedziwny nadmorskich okolic,
Ani Mont Blancu śnieżysty prostokąt,
Patrzący słońcu złocistemu do lic,
Nie był mi droższy, niż ty moje miasto,
Gdziem żył i szczęście swe dzielił z niewiastą.

Więc jeśli kiedyś na gwiazd pójdę połów
I zamknie moje znużone powieki
Śmierć swoją dłonią tak zimną jak ołów,
Jeszcze zobaczę, jak obraz daleki,
Te białe wieże twych cudnych kościołów,
Jak wynurzają się z oparów rzeki
I jak się pławią w wieczornej godzinie
W bladym, przeczystym niebios seledynie...

Kocham Cię Lwowie!

DROGA I PIELGRZYM

Życie — to droga i pielgrzym
Pod wiecznem krążeniem słońca.
Nikt nie zna początku drogi,
Nikt nie zna tej drogi końca.

Nikt nie wie, co było przedtem,
Nikt nie wie, co potem będzie,
Ale idziemy wciąż naprzód,
Posłuszni wyższej komendzie.

Fala za falą uchodzi,
A wciąż ta sama jest rzeka —
I życie też się nie kończy
Przez śmierć jednego człowieka.

I choć przypadnie ktoś we mgle,
Któremi droga się dymi,
To w ślady, które się kończą,
Wstępują nowi pielgrzymi.

Bo niema końca ten pochód,
Bo niema kresu ta droga,
Która człowieka — pielgrzymą
Wieczyście wiedzie do Boga.

BOGACZ

Pytasz, kim jestem? chcesz wziąć na egzamin
Mą duszę, strojną w przepych pióropuszy.
Pocóż mi stary po przodkach pergamin,
Aby szlachectwo udowodnić duszy?

Mam słońce w herbie — stary handlarz słońca,
Które wyryłem na sygnecie serca,
Więc się odradzam wiecznie i bez końca,
Chociaż mię życie sto razy uśmierca.

Gdy mię oszuka ktoś, straty nie pomnę
Ani do sądu nie cytuję świadków,
Mam na księżycu dobra przegromne,
Od których żadnych nie płacę podatków.

W twórczości nie wiem, co to żmudna praca,
Ktoś stoi za mną i wodzi ołówkiem,
Mam dobroć, która mi życie ozłaca
I umiem serca zdobyć jednym słówkiem.

Rym jak jaszczurkę wydobywam z ciemnic,
Gdy nań zaświstam tylko w twórczej ciszy.
Harmonja świata nie ma swych tajemnic
Dla mego ucha, które wszystko słyszy.

Gdy chcę djamentów, to pogodną nocą
Gwiazdy w sieć łowię na królewski djadem.
Wóz Wielki jest mi miłosną karocą
Po mlecznej drogi wężowisku bładem.

Znam miody bardziej złociste od pszczelich,
Któremi pasę usta wiecznie głodne,
Umiem wypijać do dna szczęścia kielich
I mam spojrzenie jasne i pogodne.

Kwitnienie kwiatów, złotych gwiazd szczęśliwość
Są dla mnie źródłem wiecznie nowych zdumień,
Krzywd nie pamiętam, a ludzka złośliwość,
Spływa tak po mnie, jak po gładkich strumień.

W wierze w człowieka, w nadziei iskierce
Mam przewodnika po manowcach ślepych —
I mam na świecie jedno drogie serce,
Przed którym blednie wszystkich skarbów przepych.

GDYBYM MIAŁ SANIE

Gdybym miał sanie i dwa białe konie
I uprząż całą wybitą dzwonekami,
Tobym w poranek, gdy świat w słońcu tonie,
Śniegi się iskrzą wokół brylantami,
A mgły różowe snują się po niebie,
Hucznie i dzwonne przyjechał po ciebie.

Jabym otulił twoje nóżki małe
Miękkością koców i ciepłem baranic
I gnałbym z tobą hen na pola białe,
Gdzie bezmiar śniegu ciągnie się bez granic
I gdzie na drzewach, zadumanych ciszą,
Okiście śnieżne nieruchomo wiszą.

Wokół nas śniegów bajka brylantowa
I niebo, które do ziemi się chyli —
Jabym do ciebie nie rzekł ani słowa,
Bo słowa piękność okłamuja chwili,
Ale bym rączkę twą pod futrem ścisnął
I na twych oczach oczyma zawisnął.

A po powrocie, gdy zamilkną dzwonki
I bat przed domem raz ostatni strzeli,
Tobym wydobył cię z futer osłonki
Tak jak dobywał dziad mój karabeli
I słowo „kocham“ na wargach zakrzepię
Jabym wcałował w twoje usta ciepłe.

STARY BUDZIK

Stary, pocięty, zaproszony grat
Bez śrub i nóżek, bez dzwonka i szkła —
Kółka i tryby przeżarła mu rdza,
Jest w moim domu już dwadzieścia lat.

A jednak chodzi — jakaś moc w nim tkwi
I jakiś wieczny, nieprzerwany ruch.
Jest mi on w życiu jak najlepszy druh,
Wierny towarzysz złych i dobrych dni.

Czasami nocą, gdy odleci sen
I gdy na szybach wypatruję dnia,
Słucham jak zegar w ciszy nocnej gra
Głosem dobytym z tajemniczych den.

Dziwna muzyka — w miarowe tik tak
Co chwila wdziera się nieznanym dźwiękiem,
Jakgdyby duszy umęczonej jęk,
Jakby z otchłani tajemniczy znak.

Czarnem obliczem patrzy na mnie mrok,
Nicość owiewa mię swym zimnym tchem —
I zdaje mi się, że to w sercu mem
A nie w zegarze słyhać śmierci krok.

SPACER

Idziemy polem bezkresnem
Bez celu, naprzód przed siebie
Pod zachód słońca złotego,
Które dogasa na niebie.

Ty nie odzywasz się do mnie
I ja w zadumie trwam niemej,
Bo pocóż słowa potrzebne,
Gdy wszystko o sobie wiemy.

Na łąkach śpiewa chór żabi
I pachnie tak mocno siano.
Srebrzystym sierpem księżycy
Ktoś skosił je dzisiaj rano.

A potem sierp ten zawiesił
Pod samym nieba błękitem,
Więc lśni nad polem bezkresnem,
Płynącym jak rzeka żytem.

Ach gdybyż można w tej chwili,
Gdy zmierzch nadchodzi wieczoru,
W cień się zamienić bez czucia
Bez kształtu i bez koloru.

Wsiąknąć w bezmiary przestrzeni,
W ciszy się cały rozplynać,
Zapomnieć o tem co boli
I tak jak chwila przeminać.

GODZINA ZMIERZCHU

Żyję w mem mieście jak pod szklanym kloszem,
Každy tak zna mnie, jak sąsiad za miedzą,
Co czynię, jakim rozporządzam groszem,
Z kim się zadaję, wszyscy zaraz wiedzą.

A więc najbardziej lubię chwilę zmierzchu,
Zanim zapłoną w mieście latarń oczy
I gdy przechodnie mijają się w mroczy,
Jak szare cienie od stóp aż do wierzchu.

Wtedy wychodzę na ulicę z domu
I to poczucie radością mię darzy,
Że jestem wreszcie taki sam bez twarzy,
Bezsobisty, nieznany nikomu.

Że w tym spieszącym dokądś, szarym tłumie,
Jestem swej doli taki sam przechodzień,
Jakich tysiące spotykamy co dzień
A dokąd idą nikt zgadnąć nie umie.

Że gdybym nawet rozplynął się w mroku,
Który mą istność w bezimiennosc odział,
Nikt nie zapyta się, gdzie się zapodział
I nie wywołam łzy w niczyjem oku.

CHCIAŁBYM MIEĆ MAŁY SKLEPIK Z ZABAWKAMI

Chciałbym mieć mały sklepik z zabawkami
Nad jakąś rzeką i przy jakimś moście,
Przez który ludzie przechodzą codziennie,
Wracając z pracy.

Chciałbym mieć mały kramik z zabawkami
Dla starszych dzieci, których życie smutne
I za którymi, jak natretny żebrak,
Troska się wlecze.

Nawet największy biedak lub mizerak
Mógłby do niego wstąpić po sprawunek,
Bo w moim sklepie groszby kosztowała
Każda zabawka.

Temu kto dawno już się śmiać zapomniał,
Dałbym pajaca z tak zabawną twarzą,
Że w pustce serca znówby zatrzepotał
Motyl uśmiechu.

Dla tych co próżno marzą o podróżach,
Miałbym okręcik z łupiny orzecha,
Który w marzeniu wiózłby ich do krain
Wysp koralowych.

Tym, którzy cierpią z miłosnej tęsknoty,
Dałbym laleczkę z lokami złotymi,
Która za każdym pociągnięciem sznurka
 Powiada: kocham!

Miałbym w swym sklepie ptaszki śpiewające,
Bąki z ukrytą w środku pozytywką,
Ażeby wlewać w serca skamieniałe
 Słodycz muzyki.

A na dodatek do mojej zabawki
Dałbym każdemu flakonik z kryształu,
W który schwytałem dar najbardziej cenny:
 Troszeczkę słońca.

ODCHODZĄCYM

Jak z domu goście wieczorem,
Ostatnie wypiwszy zdrowie,
Odchodzą jeden po drugim
Najstarsi moi druhowie.

Napróżno chcę ich zatrzymać
W ciepłe mojego poddasza,
Bo ktoś odemnie ważniejszy
Na drugi brzeg ich zaprasza.

Napróżno z pełnym kielichem
Wychodzę z nimi do sieni —
Za progiem nocy znikają
Gromadą milczących cieni.

Usiadłem za pustym stołem,
Sercem wtopiłem się w ciszę —
I jeszcze widzę ich uśmiech
I jeszcze ich głosy słyszę.

I pytam nocy, patrzącej
W mą duszę złemi oczyma,
Czy niema dla nich powrotu?
A echo powiada: niema!

W krainę śmierci milczącą,
Ostatnie wypiwszy zdrowie,
Odchodzą jeden po drugim
Najstarsi moi druhowie.

ŁODZIE NA DUNAJCU

Po szmaragdowej cichej wodzie,
Biegnącej wieki w świat daleki,
Pod zachód słońca płyną łodzie
Przełosem Dunajcowej rzeki.

Czasem je cicha głąb otoczy,
Czasem je wartki prąd popędzi —
Płyną po modrych wód przeźroczy
Jakby na światów dwóch krawędzi.

Świat jeden, to ten błękit czysty,
Te lasy i te białe szczyty,
Świat drugi, choć nierzeczywisty,
To ten w głębinie wód odbity.

Te same świerki na skał grzbiecie,
Niebo i chmury takie same —
O cudny, zatopiony świecie,
Jakże do ciebie znaleźć bramę?

Jakiego słowa czarów użyć
W ten wieczór, który w złocie tonie,
Aby pod wodę się zanurzyć
I znaleźć się po tamtej stronie?

Po szmaragdowej cichej wodzie,
Biegnącej wieki w świat daleki,
W krainę bajki płyną łodzie
Przełosem Dunajcowej rzeki.

BÓL ROZŁĄKI

Wszystko, co kocham, chciałbym mieć przy sobie,
Dlatego boli mię każda rozłąka
Czy to z kobietą, czy z druhem serdecznym,
Czy nawet z małym ukochanym kotem.

Dopiero wówczas, gdy dokoła siebie
Widzę pomyślność każdego istnienia,
Które związane jest z moim żywotem,
Jestem szczęśliwy i czuję się w niebie.

Rozumię dobrze wielkich Faraonów,
Którzy, gdy szli już w czarną smugę cienia
Co zwie się śmiercią, to brali ze sobą
W mrok katakumby wszystko co kochali.

Bo śmierć na pewno nie byłaby straszną,
Gdyby nie była klęską i żalobą
Dla tych, co jeszcze przy życiu zostali,
Zamiast iść z nami też na tamtą stronę.

Czy na tej ziemi tak pełnej jasności,
Czy, gdy me ciało spocznie w ciemnym grobie
A duchem swoim w niebycie zatone,
Wszystko co kocham chciałbym mieć przy sobie.

RZEKA

Lubię wieczorem sięść nad rzeki brzegiem,
Mając nad głową bezmiary niebiosów,
Biegnąć myślami za jej wiecznym biegiem
I słuchać duszą jej tajemnych głosów,
Bo wtedy twarz swą wychylają z ciemnic
Prawdy strzeżone pieczęcią tajemnic.

Oto mej duszy opowiada rzeka,
Że niema czasu i niema przestrzeni,
Że choć jej fala płynie i ucieka
I wiecznym ruchem przy brzegach się pieni,
O każdej chwili i o każdej dobie
Jest w jednym miejscu i trwa sama w sobie.

W szmerze jej fali dzwoniącej odjazdy
Słyszę swą duszą wszystkie głosy świata:
Ptaka, tygrysa, człowieka i gwiazdy,
Śmieje się szczęście i jęczy zatrała
I w tem rozpięciu głosów niezmiernem
Wszystko jest jednym, wiekuistym tonem.

Taka jest bowiem prawda wszechistnienia,
Że jak tęsknota mieści się w tęsknocie,
Tak nic nie mija i choć formy zmienia
Trwa samo w sobie, wieczne w swej istocie
I tak niezmiennie jest jako ta rzeka,
Choć każda falą ku morzu ucieka.

LILIPUT

Śpi twardo, niby w bajce Guliwera,
Naga i biała, jak w głazie wykuta.
Potęgą żądzę, co mi w piersi wzbiera,
Wcielam się chytrze w postać liliputa
I rozpoczynam cudowne podróże
Po białej, cieplej, aksamitnej skórze.

Idę gościńcem miększym od poduszek,
W boskich kotlinach nurzam się jak żuraw,
Zwiedzam doliny, gdzie złocisty puszek
Delikatniejszy od wiosennych muraw
I te przylądki słodkie, tajemnicze,
Skąd płyną ku mnie zapachów słodycze.

Nad każdym dołkiem płaczę niby Filon,
Oczarowany urokiem harmonji,
Nad białym pępka kraterem pochylon
Słucham jak krew się przelewa i dzwoni
W niebieskich żyłkach, które są jak rzeki
Płynące w przestwór obcy i daleki.

A kiedy czuję już w stopach omdlałych
Znużenie, które wiedzie na manowce,
Na stokach piersi jej stromych i białych
Pną się me usta, jak zgłodniałe owce
Ku owym szczytom, nęcącym z oddali,
Gdzie odpoczywam na rafie z koralu.



Po szyji pnę się ku podbródka łące
I ku jej ustom zdążam bez pośpiechu.
Tu owiewają mię wiatry gorące,
Zmysły mi mąci tajfun jej oddechu,
A więc w różowej, cichej grocie ucha
Czekam, aż przejdzie straszna zawierucha.

A kiedy wreszcie strudzon i znużony ,
Pragnę się ukryć w włosów gęstym borze,
Zwolna podnoszą się jej rzęs zasłony
I w otwartego jej oka jeziorze
Widzę, jakgdyby na fali błękicie,
Mojej maleńkiej postaci odbicie.

MARZENIA

Taki w człowieku jest uczucia przepych,
Taki lot myśli, co przenika świat,
A wciąż błakamy się w uliczkach ślepych,
Dźwigając ciężar starych ludzkich wad.

Gdyby tak można duchem wyogromnić,
Jak jakiś wielki i dostoyny pan,
Wszystko przebaczyć i wszystko zapomnieć,
Choć serce jeszcze jątrzy się od ran.

I wszystkie krzywdy, które nam sprawiono,
Rzucić w głęboki i milczący staw
I nieprzebytą oddzielić zasłoną
Jesień żywota od przyziemnych spraw.

Gdyby tak można złamać szpady gardę,
Którą wciąż trzeba wojować za trzech,
I zamiast tarczy mieć tylko pogardę,
I zamiast broni tylko jasny śmiech.

Gdyby tak można zaszyć się w samotność
Cichych przełęczu gdzieś u niebios bram,
Gdzie wszystkie drogi wiodą w bezpowrotność
I jest się z duszą swoją sam na sam.

I na tak wielkiej znaleźć się wyżynie,
Gdzie w ciszy płyną gwiazd wieczyste łzy,
Gdzie się nie słyszy, jak krzają świny
I jak nad kością żrą się głodne psy.

LIST DO SAMOTNIKÓW

Piszę dziś do tych, których zły los wygnał
Na naszej ziemi zapomniane kresy,
Gdzie nawet stacji nie dochodzi sygnał
I gdzie „dobranoc“ mówią wszystkie biesy.

Do tych co wiedą egzystencję marną
Wśród niedostępnych błot i głuchych borów
I którzy znają melancholję czarną
Długich, samotnych, jesiennych wieczorów.

Dla których pismo, choć o dzień spóźnione,
Jest najpiękniejszym darem dobrych bogów,
A więc czytają pilnie każdą stronę,
Nie opuszczając nawet nekrologów.

Bo wiem, że tacy jakąś nocną chwilą,
Gdy dom zatonie w bezruchu i w głuszy,
Nad moim wierszem sercem się pochyla,
Szukając w świecie jakiejś bratniej duszy.

I miło będzie im, że ktoś nieznany
Niesie im dobrą wieść i dobre słowo
I swym uśmiechem rozżłaca im ściany
I z nimi serca dzieli się połową.

DWIE NITKI

Spoczynku chwila,
Lecz ona czuwa jedyna...
Matczyna głowa siwa,
Co nad robótką się schyla,
I w guzik dla swego syna
Swe myśli wszywa.
A choć zmęczona i biedna,
Jedną pociechę ma w męce:
Dwie nitki, to zawsze więcej
Niż jedna.

A gdy już pójdziemy w życie,
Kowale swej własnej kuźni,
Jak często sprawdza się później
Co matka marzyła skrycie.
Czasem opuści nas szczęście,
Bo wstrzymać go nie umiemy —
Wtedy w rozpaczy niemej
Gryziemy swe własne pięście.
I dusza nasza jest biedna
I niema pociechy w swej męce:
Dwie nitki, to zawsze więcej
Niż jedna.

WYSPA

Gdy zachód słońca swym różem przejaśni
Rąbki obłoku tkwiącego w przestworzu,
Obłok się zmienia w jakąś wyspę z baśni,
W seledynowem zagubioną morzu.

I widać jakby w plastycznym odlewie
Najdokładniejszy zarys tych wybrzeży,
O których żaden żeglarz w świecie nie wie,
Bo wyspa „znikąd“ jest i „nigdzie“ leży.

I widać wszystkie wybrzeża zakręty,
Ciche zatoki wśród wodnej rozchwieji
I ten najbardziej w morze wysunięty
Przyładek dobrej słonecznej nadziei.

O gdyby można, gdy słońce zachodzi
I świat nasz cały w bajkę się zamienia,
Na małej, z bajki pożyczonej łodzi,
Usiąść przy sterze naszego marzenia.

O gdyby można szeroko rozwinąć
Pod wiatr jej żaglu nieskalną białość
I do tej wyspy szczęśliwej dopłynąć,
Gdzie nie dochodzi życia tego małość.

MRÓZ

Idzie mróz biały... w jego suchym chrzęście
Wszystko się ścina w djamentowy lód.
Pod połą płaszcz niosę moje szczęście
To samo dzisiaj, jakie było wprzód.

Idzie mróz biały i wyciąga dłonie
Po moje szczęście, tak ostre jak nóż,
Lecz się nie boję i nie lękam się o nie,
Bo gorsze chwile przeżyliśmy już.

Na górskich ścieżkach nad przepaścią ciemną,
Na morzu, burzą wzruszonym do dna,
W każdej godzinie życia było ze mną
I nie przemija i wciąż przy mnie trwa.

Przeżyło ze mną bolesne rozstania,
Męki tęsknoty po wytrwania kres,
Gdy rozpacz wyje pod oknem mieszkania
Jak w księżycową noc bezdomny pies.

Idzie mróz biały... lecz ja się nie trwożę,
W to jedno wierzę i to jedno wiem,
Że moje szczęście zamarznąć nie może,
Bo je ogrzewam żywym sercem swem.

POCZUCIE PEŁNI

Czasem się zdarza taka dobra chwila,
Gdy dzień nasz idzie już pod zachód złoty,
Że człowiek czuje pełnię swej istoty,
Do której nagle coś mu drzwi odchyła.

I widzi przez nie pierwszy raz prawdziwie
Wyłaniającą się z mroków ukrycia
Całą przebytą drogę swego życia,
Jakby w dalekiej, jasnej perspektywie.

Widzi swych trudów milowe kamienie
I drogowskazy wędrówki bez końca,
Mosty, przez które szło ludzkie cierpienie
Po trochę słońca do handlarza słońca.

Ugory, które zorał swym potem,
Kwiaty, co piły rosę z jego ręki,
Świątynie Piękna, malowane złotem,
Szare kapliczki swojej krwawej męki.

A wszystko własne, ze siebie poczęte,
Kradzione nocy długiej i bezsennej,
By ludzkie życie było uśmiechnięte
A nie tak szare jako dzień jesienny.

I wtedy czujesz: choć nad twą mogiłą
Zaszumi klonu cmentarnego listek,
Żyć będzie dalej to, co w tobie żyło,
Bo na tym świecie nie umarłeś wszystek.

CICHE JEST SERCE ME...

Ciche jest serce me cichością polan,
Które pod zachód słońca krwawo płoną.
(O takiej chwili głowę umęczoną
Chciałbym przytulić do twych białych kolan).

Pozwólmy mówić lasu cichym szumom,
Puste są słowa, więc pocóż się silić.
(O takiej chwili chciałbym się pochylić
Nad twoich oczu wieczystą zadumą).

Goreją szczyty od słońca pożaru,
Wracają owce i dzwonią dzwonekami.
(O takiej chwili czar jest między nami —
Jakże się lękam, by nie spłoszyć czaru).

I nagle cały świat się robi złoty
A każda chmurka jest do szczęścia drogą.
(O takiej chwili dwie ludzkie tęsknoty
Idą ku sobie i zejść się nie mogą).

TAJEMNICA MYŚLI

Choć rozmawiamy tak wiele,
Tak mało o sobie wiemy.
Myśli pod czaszką się tłuką
W ciemności głuchoj i niemej.

A kiedy wreszcie odnajdą
Przez usta otwartą bramę,
Ubrane w słowa sukienkę
Już inne są, nie te same.

I choćbyś duszę miał czujną
I choćbyś oczy miał wilcze,
Dowiesz się o tem co mówię
Ale nie o tem co milczę.

Cóż z tego, że na swych ustach
Czuję twe usta gorące?
Nieznani sobie jesteśmy
Jako dwie głębie milczące.

Żyjemy lata przy sobie
I nic o sobie nie wiemy.
Myśli pod czaszką się tłuką
W ciemności głuchoj i niemej.

OCZY

Wszystko w człowieku ginie, wszystko się poniewiera,
Ciągłe nam jakiś złodziej wykrada roje pszczelne,
Jak robak starą skrzynię, czas nas powoli zżera,
Oczy są nieśmiertelne.

Gdy słowo „stań się“ padło w chaosu strasznych
mroczach

I ziemia rozpoczęła wędrówki swe słoneczne,
Bóg światło swego ducha zapalił w ludzkich oczach
I są jak lampy wieczne.

Czasem, gdy w pocałunku usta się nasze zwały,
A potem, gdy zmęczenie ramiona nam rozplata,
Patrzy przez nasze oczy ktoś dawno już umarły,
Ktoś jak nie z tego świata.

Czasem, gdy naszą duszę zdrada i kłamstwo spodli,
Gdy gnamy drogą życia, lecz już bez złotych podków,
To jeszcze w naszych oczach coś się pięknego modli,
Bo to są oczy przodków.

Na oknach naszej duszy zostaje nam z przeszłości
Wszystko, co było piękne, wszystko, co było dzielne
I choć już w zimnym grobie zbutwieją naszą kości,
Oczy są nieśmiertelne.

ŚWIATŁO UŚMIECHU

Widziałem morza tak bardzo niebieskie
Od samych głębin aż do fali szczytu,
Jakby w kryształ weneckie lub czeskie
Nalał ktoś farbki lub nieba błękitu.

Widziałem jezior szwedzkich jasną mleczność,
Chociaż nie było na niebie miesiąca,
Jakby zasnęła w nich tęsknoty wieczność
W świetle polarnem opalizująca.

Widziałem zachód słońca na Liliowej,
Zalane złotem hale i bezbrzeża
I w dali Giewont cały purpurowy
Z krzyżem na głowie Śpiącego Rycerza.

Chłonałem w siebie lunę Placu Marka
Z wybrzeży Lida widzianą z daleka,
Kiedy po żywem srebrze płynie bark
I żywe srebro z wiosł cicho ścieka.

Widziałem w lesie próchniejące drzewa,
W których się światło tajemnicze żarzy,
Lecz nic tak duszy mojej nie olśniewa,
Jak dobry uśmiech na twej słodkiej twarzy.

POCIĄGI WŚRÓD NOCY

W muzyce nocy, przez mroki i cienie
Wylawiam uchem zawsze jeden motyw:
Owo sapanie ciężkie lokomotyw,
Odjeżdżających w dalekie przestrzenie.

I wysyłając duszę na przyspiegi,
Widzę wyraźnie przez zamknięte oczy,
Jak wąż pociągu przez pola się toczy,
Rzucając światła refleksy na śniegi.

W jednym z przedziałów z twarzą uśmiechniętą
Ja siedzę, bawiąc podróżnych gromadę.
Ktoś pyta grzecznie, czy daleko jadę?
Ho! ho! mój panie — jadę do Sorrento.

Po drodze Roma oczaruje duszę
I znów zaduma ruin ją rozśpiewi.
Niegdyś przed laty do fontanny Trevi
Rzuciłem solda — odszukać go muszę.

I wreszcie Capri, które o wieczorze
Wykwita z fali jak koncha perłowa.
I zadumana grota lazuruwa,
Gdzie Wenus z piany zrodziła się morza.

Cudne marzenia, snute potajemnie!
Tęsknoty wiecznie wracający motyw!
Nocą, z sapaniem ciężkich lokomotyw,
Pędzą pociągi w dal — ale bezemnie.

MOJE SPICHRZE

Kiedy zaduma jesiennych wieczorów
Na wszystkim kładzie swe światło najcichsze,
Lubię oglądać moje pełne spichrze,
Owoc całego życia prac i zbiorów.

W bladym półmroku, w którym spichlerz tonie,
Złoci się ślicznie wyluskane ziarno.
Hej! naorałem się swą ziemię czarną
I nakrwawiłem o chwasty swe dłonie.

Takie ogromne jest moje bogactwo,
Ze żadnej straży ni kluczy nie ścierpię —
Niech każdy wejdzie i z mych skarbów czerpie:
Ubogi człowiek i zgłodniałe ptactwo.

Nigdy nie stawiał dla ptasiego ludu
Strachów na wróble wzorem moich braci —
Ten, które daje, znowu się bogaci
Nadzieją męki i nowego trudu.

W jesienny wieczór, gdy na bladym niebie
Cichą zadumę rozepną anioły,
Przyjdź bracie śmiało do mojej stodoły,
Wystarczy ziarna dla mnie i dla ciebie.

PIERWSZY ŚNIEG

Zawsze, gdy spadnie pierwszy śnieg,
Chcę iść przez pola, które w śniegach drzemią,
Naprzód przed siebie, aż na świata brzeg,
Tam, gdzie niebiosą stykają się z ziemią.

Chcę iść przed siebie, odrzuciwszy w tył
Życie codzienne tak pełne hałasu
I czuć na twarzy swojej mokry pył
Śnieżnych okiści, wiszących wśród lasu.

I uciec wreszcie choć na chwilę tam,
Gdzie mię opuści wszystko to co liche
I w ciszy śniegów będę tylko sam,
Nad głową swoją mając niebo ciche.

Lecz wiem, że chociaż porzucę mój świat
I spraw i twarzy ludzkich się wyrzeknę,
Wróg najstraszliwszy pójdzie za mną w ślad:
Przed samym sobą nigdy nie ucieknę.

SAMOTNOŚĆ

Każdy z nas w czasach, kiedy był młodzieńcem,
Ludzkiego serca niesytym i głodnym,
Chadzał w gromadzie, otoczony wieńcem
Druhów, przyjaciół i zgrai przygodnej.

Lecz z lat upływem przestawał być bramą,
Do której wkroczyć mógł każdy przechodzień,
Bo druhów życie przesiewało samo
I odpadali powoli i codzień.

Jak zwiędłe liście, które wiatr przegania,
Jak krąg na wodzie poruszanej fali,
W pustkę zapomnień szli bez pożegnania
Ci, którzy zmarli i żyjący dalej.

Wszystko, co było nam życia ozdobą,
Odchodzi od nas i ginie w ciemności,
I pozostajesz nagle sam ze sobą,
Jak w pustym domu po odejściu gości.

Im człowiek starszy, tem ciszej naokół,
Tem więcej ścieżek wiedzie w bezpowrotność,
Aż wkońcu kryjesz się jak ranny sokół
Na pustej skale, gdzie mieszka Samotność.

PRZECHODNIE

Życie jest takie, jak miejska ulica,
Przez którą ludzi przesuwa się tłum.
Każdy swą treścią jego rytm przesyca,
Z kropel powstaje rzeki głośny szum.

Płyną przechodnie i nikt z nas nie zbada
W jaki tragiczny podążają splot:
Śladem miłości posuwa się zdrada,
Przez drogę szczęścia przebiegł czarny kot.

Spokój dobroci i namiętność dzika
Wciąż się mijają głucho i bez słów.
Na skrzyżowaniu ulic się spotyka
Orszak weselny i żałobny huf.

Nieba i piekła dotykamy co dnia,
Zanim z dzienników dojdzie do nas wieść.
Kto umie czytać, ten w oczach przechodnia
Dojrzy przeznaczeń tajemniczą treść.

Bo czy się spieszy, czy idzie powoli,
Losu nie zmyli o minuty ćwierć —
I każdy zdąża naprzeciw swej doli,
Jeden po szczęście, a drugi po śmierć.

OFIAROWANIE

Człowieku szary, mały, bezimienny,
Wprzagnięty w koło wieczystej niedoli,
Który ze łzami zjadasz chleb codzienny,
Ażeby trochę oszczędzić na soli!

Który usuwasz się w cień powolutku,
Który się czujesz jak zbędny rekwizyt,
Który w swym domu nie masz innych wizyt
Prócz komornika, zgryzoty i smutku!

Dla ciebie oto wiersz dzisiejszy piszę,
Najwyższe tony zwolniwszy z uwięzi,
By gorzkich dumań twych rozdzwonił ciszę,
Jak ptak co śpiewa rankiem na gałęzi.

Dla ciebiem farby najpiękniejsze złowił
Złotemu słońcu na nieba błękicie,
Abym raz jeden choć rozbrylantowił
To twoje szare, beznadziejne życie.

I dożył tego, o czym serce marzy,
Które odczuwa tak bliźnich niedole,
By złoty uśmiech zaśnił na twej twarzy,
Jako źdźbło słomy lśni w ciemnej stodole.

GŁOS WEWNĘTRZNY

Któż zbadał własnej istności
Nieodgadnione oblicze,
Podziemia podświadomości,
Tak kręte i tajemnicze?

Gdzie przez krużganków mrok zradny,
Przepływający jak rzeka,
Jedyną nicią Ariadny
Jest głos wewnętrzny człowieka?

Kto z owym głosem jest w zgodzie,
Ten zmoże błędzenia trwogę
I zawsze w życia pochodzie
Odnajdzie właściwą drogę.

Lecz kto zatyka swe uszy
Na głos tego wołania,
Ten z labiryntu swej duszy
Na światło się nie dostanie.

Tą mądrość szukania drogi
Każdemu w darze przyniesie:
Kasprowicz w „Księdze ubogich“
I Platon w swym „Sokratesie“.

ŚCIEŻKA NA RYSY

Nieraz, błakając się nad Czarnym Stawem
Drogą biegnącą jakby wokół misy,
Patrzyłem okiem chciwem i ciekawem
Na wąską ścieżkę wiodącą na Rysy.

I coś ciągnęło mię, by wstąpić na nią
I piąć się w górę turystycznym szlakiem
I czarnym punktem zawisnąć nad granią,
Żabiego Konia dosiadłszy okrakiem.

I przez okienko z chmur spojrzeć z wysoka
Na ziemski padół pod stopami nisko,
Na szmaragdową toń Morskiego Oka
I na drewniane nad brzegiem schronisko.

Nieraz już w mieście, w zadumań godzinę,
Gdy żułem gorycz codziennego bytu,
Widziałem w myślach tę białą ścieżynę,
Wiodącą w szczęście czystego błękitu.

Lecz dziś gdy Żabi Koń wziął krwawe żniwo:
Młodziutką głowę rozbitą na ćwierci,
Pojąłem wreszcie tę prawdę straszliwą,
Ze droga szczęścia bywa drogą śmierci. }

LIST DO KORNELA

Choć bez nazwiska i choć bez adresu
Wiem, że dopadnie cię ta serca karta,
Gdy od Krupówek uciekniesz na nartach
W tatrzańskie góry białe i bez kresu.

Bo gdy na wierchach, pod błękitu rzeką
Świat ci się w srebrnych śniegach wyogromni,
Coś me istnienie duszy twej przypomni,
Chociaż jesteście od siebie daleko.

Może ta cisza, co szczyty zalega,
Aby nie płoszyć cudnej bajki zimy,
Może te białe i najczystsze rymy,
Pisane twemi nartami na śniegach.

Może tęsknota ta niewytęskniona,
Twojej i mojej duszy siostra blada,
Może ta okiść śnieżna, co z drzew spada,
Jakgdyby moją myślą potrącona.

I wiem, że po tem wspólnoty odkryciu,
Której już żadne dymy nie zaprószą,
Tak się staniemy bliscy sobie duszą,
Jak nigdy dotąd nie byliśmy w życiu.

KOMETA

W mrokach wszechświata posępnych i czarnych,
Gdzie mieszka nicość, lęk i tajemnica,
Krąży kometa, wieczna tułaczka
Pośród przestworzy międzyplanetarnych.

I choć, pijana tą szaloną jazdą,
Wlecze za sobą warkocze z płomieni,
Nigdy nie zetknie się w wiecznej przestrzeni
Z drugą kometą, ze słońcem lub gwiazdą.

I tylko czasem, gdy losy tułaczki
Zbliżą jej drogi do dróg naszej ziemi,
Nie mogąc dotknąć jej rękami swymi
Deszczem złocistych meteorów płacze.

I dusza moja w krążeniu dalekiem
Między miliony tylu dusz rzucona,
Chociaż wyciąga świetliste ramiona,
Nigdy nie może zetknąć się z człowiekiem!

ROZBIEGŁY SIĘ MOJE RYMY

Rozbiegły się moje rymy
Jak pustych dzieci gromada,
Po łące wrzosem pachnącej,
Po lesie, gdzie liść opada.

Napróżno je nawołuję,
Jak dobra, troskliwa niania —
Zajęte cudną zabawą
Nie słyszą mego wołania.

Więc czuję, że nic nie wskóram
I że sie trudzę daremnie.
Jesień ze swemi czarami
Jest dziś silniejsza odemnie.

Jedne się chylą nad wrzosem,
Gdzie pszczoł rozdzwania kantata,
Drugie chwytają w powietrzu
Niteczki babiego lata.

A inne z główką zadartą
Oczyma toną w przestrzeni,
Gdzie krążą ważki błękitne,
Cudni lotnicy jesieni.

Rozbiegły się moje rymy —
Niechaj wybawią się jeszcze,
Nim zgaśnie to słońce złote,
Nim spadną jesienne deszcze.

OBRAZEK WIOSENNY

Z nadejściem wiosny zawsze pełen zdumień
Chłonę swą duszą jej wdzięczne obrazki:
Gdy resztki śniegu spiją słońca blaski,
Ściekiem ulicznym płynie wartki strumień.

Tu w lodzie bruku staw ogromny wygrzył
I wodospadem spływa przez kamienie,
Tam znów rozdzielił się na dwa strumienie,
Jak Missisipi lub Eufrat i Tygrys.

Płynącej wody poszum tajemniczy
Gromadę malców wywabia z suterren.
Jakże cudowny to zabawy teren
Dla tych, co życia nie znają słodyczy.

Krzyki uciechy, głosów zamęt dziki
I wnet kołyszą się na wartkiej wodzie
Z łup od orzechów i z pudełek łodzie
I papierowe białe okręciki.

Na te okręty patrzy pełen wzgardy
Najstarszy wiekiem sklepiczarki synek,
Bo ma pancernik z pudła od sardynek
I torpedowiec z puszek od musztardy.

I w zachwyceniu spogląda gromada,
Schyliwszy twarze nad ulicznym ściekiem,
Jak płynie w słońcu ku krajom dalekim
Niezwyciężona dziecięca Armada.

ECCE HOMO!

Niema tajemnic jesień mego życia
I mógłbym mieszkać nawet w szklanym domu.
Bo teraz krzywdy nie czynię nikomu
I nic w swem sercu nie mam do ukrycia.

To, czego wstyd mi było przed człowiekiem
W gorące życia mojego południe,
Rzuciłem w czarną i głęboką studnię,
Przykrytą mchami obrośniętem wiekiem.

I już jej nigdy więcej nie otworzę.
Chyba z wybiciem ostatniej godziny,
Bym nie udawał człowieka bez winy,
Kiedy się stawię przed obliczem Bożem!

A gdy przed karą klęknę niewiadomą,
To może wówczas przy Sędziego tronie
Dobrzy anieli staną w mej obronie,
Wołając wielkim chórem: Ecce homo!!

BRYLANTOWA DROGA

Chciałbym być teraz w jakimś wielkim lesie,
Który pod śniegiem świeżo spadłym gnie się,
I w którym drzewa, strojne w śnieżne puchy,
Nad drogą chylą się, jak białe duchy.

I chciałbym w słońce iść z odkrytą głową,
Tą roziskrzoną drogą brylantową,
Gdzie drogowskazu duszy nie potrzeba,
Bo wyszła z nieba i wiedzie do nieba.

I nad tej ciszy pochylić się tonią,
W której sań dzwonki nigdy nie zadzwonią,
Bo na tej drodze długiej, bezpowrotnej,
Człowiek choć tęskni, zawsze jest samotny.

Lecz ta samotność nie jest mu katuszą,
Bo mu najlepiej ze swą własną duszą —
I już nie pragnie żadnych nowych zdarzeń,
Na brylantowej drodze swoich marzeń.

NOC LETNIA

Noc letnia duszna, ociążała, parna,
Najlżejszy powiew liści drzew nie trąca.
Gwiazdy, rozsiane jak złociste ziarna,
Gasną, jakgdyby omdlałe z gorąca.

Ogromny księżyc jak przekrwione oko
Z za horyzontu zwolna się wylania.
Świat cały zasnął twardo i głęboko
Pod niebem ciężkiem, jak stalowa bania.

Psy tylko nie śpią — najpierw gdzieś z daleka
Wrzasnęło w ciszy jakieś psisko duże,
A już za chwilę ujada i szczeka
Każda ulica i każde podwórze.

Stare brytany ujadają basem,
Drań się dyszkantem małe podłe pieski
I napęlniają ulice hałasem,
Skacząc z wściekłością na parkanów deski.

A gdy już księżyc jest na nieba szczycie,
Cały ten koncert warczeń i ujadów
Zmienia się w długie, przeraźliwe wycie,
W którym jest rozpacz, lęk i nuta biadań.

Czyż wiemy, co jest powodem tej wrzawy?
Co psy napętnia lękiem i tęsknicą?
Czy ta noc parna? czy ten miesiąc krwawy?
Czy śmierć, co ciemną skrada się ulicą?

A może w takiej księżycowej chwili
W owych stworzeniach dusza się kołata,
Która swej tajni nigdy nie odchyli
I zawsze niemą zostanie dla świata?

CZŁOWIEK

Ach, czemuż jest człowiek, czemuż?
Skąd bierze to siły znamię,
Że łamie się a nie złamie,
Że ginie wciąż a nie zemrze?

 Że posiadał twardość kamienia
 I wytrzymałość olbrzyma,
 Że wszystkie ciosy przetrzyma,
 Przecierpi wszystkie cierpienia?

I troski i te zgryzoty,
Które przynosi dzień szary
I te codzienne ofiary,
Składane ze swej istoty.

 I owe krzywdy bez granic
 I owe zdrady sobacze
 I ból co więcej nie płacze,
 Nie czekający już na nic.

I młodych dni bezpowrotność
Bez szczęścia i bez kochania,
Gdy się z mgły szarej wylania
Ostatnia stacja: samotność.

Ach, czemuż jest człowiek, czemuż?
Skąd bierze to siły znamię,
Że łamie się, a nie złamie,
Że ginie wciąż, a nie zemrze?

POSUCHA

Skoro posuchy spadnie skwar gorący
I na roślinach wyschnie rosa łez,
Wiersz mój się staje sam przez się syczący
Jak pieśń śpiewana na spółgłosce „s“.

Słońce ssie ziemię spękaną i suchą,
Sypiąc swój sypki bezszelesny żar.
Świat spopielają, spalony posuchą,
Szaleństwo słońca, spiekota i skwar.

Uschnięte liście spadają z szelestem
Suchym i szklanym, jak gdyby ze szkła —
Wśród pajęczyny szarej pod agrestem
Śpi pająk, skonu wyczekuje dnia.

Schnie stara beczka wyschnięta i pusta.
Skrzypi w niej tęskny za deszczówką dreszcz —
Szypułki kwiatów jak spieczone usta
Seplenią prośbę o szumiący deszcz.

A gdy wśród świerszczów syczącej szarańczy
Gacki bez szmeru suną ze swych gniazd,
Na nieboskłonie barwy pomarańczy
Cisza zapala sto złocistych gwiazd.

GOSPODA

Chciałbym mieć małą za miastem gospodę,
Co w zieleń bluszczu cała się zatapia,
Jaką widziały niegdyś oczy młode
Na Via Appia.

Wieczór, gdy słońce nad ziemią się chyli
I krwawą kulą za horyzont wrasta,
Smutni by ludzie do niej przychodzili
Z całego miasta.

I sambym wszystkich usługiwał gości,
Przed każdym trunku ustawiając kielich:
Mieszankę z grona winnego złotości
I z miodów pszczelich.

Złote i mocne byłoby to wino,
Dobyte z piwnic wilgotnego cienia,
Dające ludziom wieczorną godziną
Moc zapomnienia.

Więc ktoby usta w kielichu umaczał
Wnetby zapomniał o tem, co go boli
I już nie martwił się i nie rozpaczał
Nad złem swej doli.

O jakże cudnie jabym się wzbogacił,
Ściągając swoją opłatę z pośpiechem,
Gdyby za wino me każdy zapłacił
Jednym uśmiechem.

SIERPIEŃ ŻYCIA

Gdy w kalendarzu życia jest już sierpień
I opadają pierwsze zwiędłe liście
Straconej wiary, zawodów i cierpień
I zdrady, która nas ściga wieczyście,
Dusza oddaje się cichej zadumie,
Lecz więcej widzi i więcej rozumie.

I wszystko dla niej staje się otwarte,
Co dawniej miało pieczęcie tajemnic
I przerzucając za kartami kartę
Nieznane prawdy wydobywa z ciemnic
I już inaczej patrzy się z ukrycia
Na wartość szczęścia i na wartość życia.

W hałasie życia ileż jest omamień?
Myśli i gwiazdy rodzą się wśród ciszy.
W głęboką studnię jeśli rzucisz kamień,
Twe ucho plusku wody nie usłyszy.
Ażeby znaleźć się za życia w niebie,
Trzeba jak fakir całkiem wyjść ze siebie.

Więc gdyśmy drogę swego życia uszli
I już nam bliskie są Styksowe brody,
Wiemy dopiero, że z cierpienia muszli
Rodzi się perła najcudniejszej wody
I że ostatnim naszym manifestem
Winno być jedno: Cierpiałem więc jestem!

SPACER DO NIEBA

Nie siedźmy za okien kratą,
Gdy tak złocisty jest wrzesień —
To, co ukradło nam lato,
Podwójnie oddaje jesień.

Potoki leją się słońca
Z błękitu przezczystej krasy —
I dal jest taka bez końca
I takie bliskie są lasy.

Więc pójdźcie dzisiaj wraz ze mną
Do lasu, zjadacze chleba.
Znam jedną ścieżkę tajemną,
Która prowadzi do nieba.

Bo skryta w gęstwin opończy
Do góry wspina się szczytu,
A tam, gdzie ścieżka się kończy,
Okienko świeci błękitu.

Po zwiedłych liści dywanie
Pójdziemy cicho i miękko,
A gdy już ścieżki nie stanie,
Dotkniemy nieba swą ręką.

TYDZIEŃ ŻYCIA

W tygodniu mego życia jest już czwartek —
Kończy się książka miłości i słońca.
Już mi niewiele pozostało kartek
Do końca.

Gdy noc rozpuści swoje czarne włosy
I patrzę w ciemność oczy rozwartemi,
Często wołają mnie tajemne głosy
Z pod ziemi.

Cóż wam tak spieszno mieszkańcy otchłani?
Przybędę w porę i jak żebrak boso,
Skoro zapuka w okno biała pani
Swą kosą.

Bowiem rozdałem skarbów sto tysięcy
A wziąłem wzamian wszystko, co uśmierca,
Więc jestem biedny i nic nie mam więcej
Prócz serca.

Więc jestem smutny jak dzień bez marzenia,
Więc jestem pusty jako dom bez gości
I powolutku wchodzę w smugę cienia
Starości.

KOWAL

Jak pracowity kowal w swojej kuźni,
Wśród grania miechów, w złotych iskier chrzęście,
Mocnem ramieniem, które nie opóźni
Rytmu uderzeń — kułem swoje szczęście.

A choć mi nieraz omdlewało ramię,
Syciła mego trudu nieodzowność
Ta myśl, że szczęścia mego nic nie złamie,
Jeżeli będzie mieć stali hartowność.

Dziś odpoczywam już po wielkim trudzie.
Skończone dzieło mojego żywota.
Zagasty piec w mej kowalskiej budzie
I zatrzaśnięte kuźni mojej wrota.

A jednak ciągle jeszcze tęsknię do tych
Chwil, na wysiłku rozdzwonionych nutę,
Gdym stał jak kowal w snopie iskier złotych,
Kując swe szczęście nigdy niedokute.

ŚLEPIEC

Co dzień, gdy słońce zachodzi czerwono,
Patrzę przez okno, czyli nie zobaczę
Ślepcą, którego prowadzą za ręce
Dwaj synaczkowie, dwie duszki bliźniacze.
Jeden ma loki złociste jak cherub
I oczy modre, jak bławaty w zbożu,
Drugi ma włosy czarne jak jaskółka
I oczy ciemne jako noc na morzu.
Jak dwa dzwoneczki albo dwa komary
Bez przerwy brzęczą coś ojcu do ucha,
O słońcu, ptakach, o kwitnących lipach —
A ślepiec z głową pochyloną słucha.
Mówią, że niebo jest takie czerwone,
Jakby paliło się w dalekich dworach,
Że ziemia tonie we mgle fioletowej —
A ślepiec słucha bajki o kolorach.
I pod kołami czarnych okularów,
Które rzucają na twarz cień tragiczny,
Zakwita wyraz najwyższego szczęścia
W uśmiechu, który jest dobry i śliczny.
Co jest powodem tej nagłej przemiany
I cudu, który spełnia się przedemną,
Że już nie straszną dla ślepcy noc czarna
Ze swoją głębią cichą i tajemną?
Może w tej chwili ta noc się przedziera
I przez jej mroki wieczne i złowieszcze
Widzi świat cały swych dziattek oczyma,
Jeszcze barwniejszy i piękniejszy jeszcze.

WIDZENIE

Znowu się do mnie uśmiechnęłaś smutna
I znowu z duszą moją bierzesz ślub.
Strojna w mgły białe jak z całunów płótna
Padłaś do moich umęczonych stóp.
Wszystko wróżyło dzisiaj twoje przyjście:
Szelest uwiędłych przez noc jedną traw,
Ze szklanym płaczem spadające liście,
W rdzawym rumieńcu skamieniały staw.
Jak cichy wieczór... na leśnych polanach
Dogasa słońce czerwone jak krew.
Głowę złożyłaś na moich kolanach —
Słuchamy szumu rozmodlonych drzew.
Jakieś się wielkie słowa w duszy ważą,
Lecz nigdy niemych nie opuszczą warg.
Zda się, że słyhać, jak pod nocy strażą
Rodzą się gwiazdy i przekwita park.
Patrzysz mi w oczy... w włosów moich srebrze
Błądzą lilije białe twoich rąk.
Twoje spojrzenie łka i coś żebrze —
Łakniesz łez nowych i nowych chcesz mąk.
A potem cicho odchodzisz w dal ciemną...
Noc już? do stóp mych liść uwiędły spadł.
Przecieram oczy — przebóg! Ktoś był ze mną!
Ktoś na me włosy dobre dłonie kładł.
Sen to czy jawa? słowa w ciszy głuchną
I tylko dziwnie szumi w mrokach park...
Jeszcze mi święci czyichś oczu próchno
I jeszcze czuję całus zimnych warg.

AS

W pobliżu pieca, przy węglowych pudłach
Zwinięty w kłębek śpi na przednich łapach,
Zawsze tak brudny, jakby w swoich kudłach
Nosił brud wszystkich podwórz i ich zapach.

Czasem tak wzdycha przez sen jako starce
I wsiąka znowu w mroki szarą plamą...
Zapewne śnią mu się cudowne marce
I psie wesela w ogrodzie za bramą.

Hej! niegdyś pachły mu miłości czary,
I kładł we walce silniejszego gracza,
Dzisiaj nie pies to, lecz filozof stary:
Wszystko rozumie i wszystko przebacza.

Zagwiżdż, a As się zbliża pocichutku
I patrzy w ciebie dziwnymi oczyma,
W których się kryje taka bezdeń smutku,
Że człowiek tego wzroku nie wytrzyma.

Wiem... stary jesteś i brudny okropnie,
Twój zapach dziurę nam w nosie wywierca —
Takiego pieska każdy chętniej kopnie,
Niżli przyciśnie raz jeden do serca.

Nie martw się Asie i wstrzymaj łzy głupie,
Które ci płyną z pod zakisłych powiek —
Zawsze cię psino od hycła wykupię,
Bo jesteś lepszy i miłszy niż człowiek.

PIASEK SYPIE SIĘ, SYPIE...

Wiatr nas jak liście żenie...
Nieznany drogi kres,
Przed nami morze łez,
Za nami cienie.

Gdzież nasz królewski djadem?
Spopiełał duszy żar.
Senna gromada mar
Pod niebem bladem.

W cichą, samotną trumnę
Każdy z nas martwy legł.
Ostry przebiło ćwiek
Przez serce dumne.

Piasek sypie się, sypie...
Życie cichutko łka —
Wicher do tańca gra
Na serca stypie

Piasek sypie, się sypie...

SEN

W tunelu paszczę wjechaliśmy ciemną...
Ściany po jednej i po drugiej stronie.
Jeden pasażer tylko jedzie ze mną
W opustoszałym i ciemnym wagonie.

I nagle jakiś tajemny niepokój
Zaczyna dręczyć mię z niezwykłą siłą.
To dziwne — drogą tą jeżdżę od roku —
Skąd wziął się tunel? nigdy go nie było.

Próżno złęknione wypatrują oczy
Na mokrych ścianach słonecznego błysku.
Ogromna góra duszę moją tłoczy
I serce swoim ciężarem uciska.

Czuję, że oczy mego towarzysza
Z głębin ciemności patrzą w moją duszę.
Nie do zniesienia stała się już cisza,
Którą za wszelką cenę przerwać muszę.

Więc krzyczę: Panie! proszę, nie bądź niemy!
Przecież ten tunel to jest niedorzeczność.
Kiedy się skończy i dokąd jedziemy?
A głos z ciemności powiada: We wieczność!

JESIEN

Patrzę, jak liście pierwszy mróz rumieni
I toń błękitu jak chusta pobladła.
Jesień jest we mnie i jam jest w jesieni,
Bo przenikamy się jak dwa zwierciadła.

I w duszy mojej jest to samo złoto
Pól, całowanych promieniami słońca
I ta tęsknota wieczna za tęsknotą,
Która się włóczy po dalach bez końca.

I w sercu mojem jest zaduma ciszy,
Która dobywa każdy szmer z ukrycia,
Każdego listka opadanie słyszy
Na niegdyś bujnym drzewie mego życia.

I chociaż stroję się w złota przepychy,
Choć tonę w słońca ostatniej powodzi,
Jest w moich oczach jakiś smutek cichy,
Który się żegna z wszystkim, co odchodzi.

Patrzę na życie swe po tamtej stronie,
Z każdą minioną rozmawiam godziną
I po mej duszy bladym nieboskłonie
Obłoki wspomnień płyną, płyną, płyną...

Z CZEGO ŻYJĘ?

Szuka napróżno źródła mych dochodów
Ten, kto na życie moje z boku patrzy,
A nie wie o tem, że jestem bogatszy,
Niż maharadża indyjskich narodów.

Bo gdy ogarnę wszechświat swą tęsknotą,
Gdy myśli pomkną, jak jaskółki chyże,
Wszystko, do czego tylko się przybliżę,
W tyglu mej duszy przetapia się w złoto.

A wtedy z duszy pełną garścią czerpię
I żyję z uczuć, zachwyków i wrażeń,
Z łez wypłakanych, z niespełnionych marzeń,
Z tego, co kocham i z tego co cierpię.

Z wieczornych godzin cichej milancholji,
Z bajek o szczęściu starych, siwych gazdów,
Z cudownych spotkań, z bolesnych odjazdów,
Z tego co cieszy i z tego co boli.

Więc choć w szaleństwie skarby wszystkie stracę,
Nigdy nie ujrzysz smutku na mem licu —
Mam jeszcze srebrne dobra na księżycu,
Od których żadnych podatków nie płacę.

A gdybym nawet został całkiem czysty,
Jeszcze nie poddam serca swego trosce —
U przyjaciela, gdzieś w zapadłej wiosce
Zawsze posadę znajdę organisty.

GWIAZDZISTY SPORT

Gdybym nie skrzypiał już jak stary żuraw
I nie zesmutniał jak dom bez odwiedzin,
Tobym dla sportu nowych szukał dziedzin,
I od przyziemnych oderwał go muraw.

Byłby to jakiś sport transcendentalny,
Przekreślający ludzkich spraw doczesność,
Którego metą byłaby bezkresność
A chyżość taka jaką ma wiatr halny.

Zgiąwszy za czuby dwa drzewa do ziemi
Wzleciałbym najpierw tak jak kamień z procy
W cichą milczącą nieskończoność nocy,
Wyhaftowaną gwiazdami złotemi.

Potem na chmurze usiadłszy jak w łodzi,
Z promieni Wenus ułamałbym wiosła
I moja łódka tamby mię poniosła
Gdzie Wielki Rybak wśród gwiazd z siecią chodzi.

W pogodną, jasną, cichą noc sierpniową
Na mlecznej drodze, gdzie komety warczą,
Strzeliłbym gola księżycową tarczą
W bramkę Wielkiego Wozu kwadratową.

Kanałów Marsa przepłynąłbym wodę
Ze Strzelcem Smoka wypłoszyłbym z nory
I prześcigałbym w biegu meteory,
Aby z rąk Panny wziąć Lirę w nagrodę.

Wreszcie dotarłszy za wszechświata brzegi
W tą straszną przepaść skoczyłbym na nartach,
Gdzie złote gwiazdy nie stoją na wartach
I nicość białe rozścieliła śniegi.

UŚMIECH DZIECKA

Codziennie rano, gdy pędem jaskółki
Spieszę do biura mą ulicą stromą,
Spotykam buzię, dobrze mi znajomą
Małej dziewczynki, śpieszącej do szkółki.

Te przypadkowe, codzienne spotkania
Nasze duszyczki zbliżyły ogromnie,
Bo każdym razem uśmiecha się do mnie
I choć obcemu przepięknie się kłania.

Ja też uchylam grzecznie kapelusza,
Jakby to była dojrzała osoba
I zaraz więcej świat mi się podoba
I zaraz lżejszą staje się ma dusza.

Lecz od dni kilku o tej samej porze
Już nie spotykam mojej dobrej duszki.
Czyżby na słocie przemoczyła nóżki
I jak węgielek od gorączki gorze?

Stałem się smutny — jakiś zgryz mię gniecie,
Jakbym utracił istotę najdroższą,
Bo dusza moja stała się uboższą
O uśmiech dziecka, najśłodszy na świecie.

DLA KOGO PISZĘ

Nie marzę o tem, by te skromne rymy,
W których się często serce moje spala,
Doszły do wszystkich, jak radjowa fala,
W krainę wiosny i w krainę zimy.

Czasy obecne nie są dobre dla nas,
Gdy prozą karmi się ogół najszerszy.
Są ludzie, którzy na wspomnienie wierszy
Wołają z lękiem: Apage satanas!

Lecz gdzieś daleko, w zapadłej mieścinie,
Lub na wsi cichej, wtulonej w śnieg mięki,
Jakiś samotnik weźmie je do ręki
W marzeń bezgłośnej, wieczornej godzinie.

I gdy śnieżycą szaleje na dworze,
A na kominku polano się żarzy,
Trochę poduma i trochę pomarzy
I do mej duszy uśmiechnie się może.

Więc chociaż życie poezję uśmierca
I niema miejsca dzisiaj dla gór szklanych,
Do tych przyjaciół dalekich, nieznaných,
Piszę te listy rymowane serca.

DOBRA CHWILA

Przychodzi czasem na nas taka chwila,
Że giną troski, znikają gorycze
I że nad sercem naszym się pochyla
Coś co ma dobre i jasne oblicze.

I wtedy duszę naszą rozpromienia
Uśmiech piękniejszy od uśmiechu Giocond
I wyjść pragniemy z ponurego cienia
W światło, przed siebie, nie pytając dokąd.

I witać wszystkich tak jak miłych gości
I dzielić z każdym swój chleb i swe szaty
I dać każdemu coś z swojej radości,
Nie pragnąc w zamian najmniejszej odpłaty.

I rzec wrogowi: bądźmy przyjaciółmi!
Wielka jest ziemia, starczy dla nas obu.
Ja ci wybaczam, choć kopaleś dół mi —
Jednako bracie zdążamy do grobu.

GADATLIWY CZŁOWIEK

Czemże jest tajemnica, czemuże,
Gdy tajemnicą być przestała?
Las ci nie zdradzi, o czym szemrze,
O sobie nic nie powie skała.

Noc najjaśniejsza nie odśłoni,
Co czai się w jej wiecznej głębi,
Strumień nie powie, o czym dzwoni
I morze, co się w falach kłębi.

A tylko człowiek gadatliwy
Jeszcze nie dorósł do tajemnic:
Wszystko dobywa z pod pokrywy,
Wszystko wyciąga zaraz z ciemnic.

A tylko człowiek w odkrywaniu
Wszystkiego wzrok ma zawsze wilczy
I rozkoszuje się w gadaniu
I mówi nawet kiedy milczy.

I tylko człowiek wierzy święcie
W to, czemu formę słowa nadał —
I gdyby złamać mógł pieczęcie,
Toby po śmierci jeszcze gadał.

NIEBO

Życie po śmierci jest duszy potrzebą
Jako nagroda za ogrom katuszy.
Każdy otrzyma tylko takie niebo,
Jakie wymarzył w swojej własnej duszy.

Więc dla jednego będzie ono halą
Cichą, samotną, pośród skalnych szczytów,
Które jak krwawe pochodnie się palą
W czasie zachodów i srebrzystych świtów.

A dla drugiego wielkim miastem będzie,
Gdzie ustawicznie zgiełk sen z powiek płoszy,
Świecącym luną po świata krawędzie,
Jak gorejący krzak wszelkich rozkoszy.

Jeszcze innemu będzie ono może
Spotkaniem duchów na łąkach wieczności,
Rozprawiających o wieczornej porze
O Bogu, prawdzie, szczęściu i miłości.

Dlatego kocham ten kąt najuboższy
Na ziemi, zanim ziemia mię pogrzebie,
Albowiem łąkam się, czy ktoś najdroższy
Znajdzie się kiedyś ze mną w mojem niebie.

DAR DLA NAJSMUTNIEJSZEGO

Promień słoneczny, który złotem chrzęści,
Złapałem dzisiaj na gałązce gruszy.
Trzymam go w mocno zaciśniętej pięści,
Radosny w duszy.

Jak dziecko, które złowiło motyla
I do pokoju ze skarbem swym leci,
Przez szpary w palcach zaglądam co chwila.
Czy jeszcze świeci.

A choćby w jasnej nie zalśnił iskierce
Czuję go każdym fibrem swej istoty,
Bo taki ciepły jest jak ludzkie serce
Ten promień złoty.

I wiem już dobrze co teraz mię czeka:
Pójdę przed siebie drogami białymi,
Najsmutniejszego poszukam człowieka
Na całej ziemi.

I gdy zobaczę w zgasłych źrenic toni
Szarość złej doli bez kresu, bez końca,
Takiemu oddam zamknięty w mej dłoni
Promyczek słońca.

WYZNANIA

Choć bardzo długą już przeszedłem drogę,
Za wszystko w życiu płacąc krwawym groszem,
Wszystko o sobie wam powiedzieć mogę,
Bo żyłem zawsze jak pod szklanym kloszem.

Kocham me wiersze, bo są moim tworem,
Tem, co już do mnie należy jedynie,
Lecz wiem, że zgasną, gdy ich dzień przeminie,
Jak złoty obłok na niebie wieczorem.

Nigdy nie roił szalonych marzydeł,
Że duch mój niebo do ziemi przybliży.
Ptak ponad chmury nie wyleci wyżej,
Niżli wystarczy mu rozpięcie skrzydeł.

W każdym człowieku czułem duszę bliską
Każdemu serca otwierałem wrota,
Bo dwie piastunki: skromność i prostota
W dzieciństwie stały nad moją kołyską.

Przy stole moim tułacz i bezdomnik
Spotykał uśmiech, co na gościa czeka,
Bo miejsce w sercu żywego człowieka
Ceniłem wyżej niż miejsce za pomnik.

Dziś, choć zachodzi słońce nad mym światem
I już niedługo wejdę w smugę cieni,
Mam w sobie jeszcze pogodę jesieni
I jej zadumę nad minionem latem.

KONTRASTY

Wszystko co dobre i ciche
Kochałem w życiu najwięcej,
A nigdy mię nie pieściły
W młodości matczyne ręce.

Słońce zbierałem dla ludzi
W serdecznej męce i w trudzie
A nigdy uśmiechu słońca
Nie dali mi za to ludzie.

Spokój marzyłem jesieni
Dla siebie i dla swej lutni,
A nigdy nie mogłem uciec
Przed dzikim hałasem kłótni.

Dla prawdy byłem gotowy
We walce rapier połamać,
A nigdy dla szczęścia innych
Nie mogłem zaprzestać kłamać.

Skuwałem ludzi ze sobą
Przyjaźni obręczą złotą,
A nigdy nie byłem w zgodzie
Ze swoją własną istotą.

PO POWODZI

Tam, gdzie srebrzyło się dojrzałe żyto
Wśród kartofliska zielonych obramień,
Bieleje rzeki wyschnięte koryto:
Piasek i kamień.

Chłop patrzy tępo i serce mu pęka —
Gdzież moje pole? O Boże mój, Boże!
Tego już ludzka nie wybiera ręka,
Ni pług przeorze.

Na samym skraju kamiennego pola,
Na cmentarzysku po zniszczonych łąkach,
Usiadła sobie szara chłopska dola,
Wiedźma w łachmanach.

Patrząc na ugór kamienny i pusty
W srebrzystym piasku grzebie niestrudzenie
I bezzębniemi, wyschniętymi usty
Gryzie kamienie.

Ach! ileż teraz miłosierdzia trzeba,
Ile serc dobrych, złotych i bez skazy,
Aby przemienić znów w bochenki chleba
Te twarde głązy.

PRO MEMORIA

Jeśli mię kiedyś ktoś oceniać będzie,
Za płodność niech mię w swej krytyce nie zje —
Pragnąc przemycić do życia poezję
Codzień rymami słałem mu orędzie:

Że Bóg i Światło jest wszędzie na świecie,
Gdzie tylko ludzie sercem swoim klękają,
Że w każdym kryje się wewnętrzne piękno,
Jak kropla rosy w rozkwitniętym kwiecie.

Że płytka woda bywa najgłośniejsza
A głębia z ciszą jedynie się splata,
Że jest tem samem w ogromie wszechświata
Szlak drogi mlecznej czy trawka najmniejsza.

Że nie pomogą swojemu duchowi
Ci co do zgonu przed troskami uszli,
Że perła rodzi się z cierpienia muszli,
Że ludzie nie są źli tylko nerwowi.

Że gdy spełnimy, co nam przeznaczone
I wypijemy do dna czarę cierpień,
Jak uchodzący przed jesienią sierpień
Z uśmiechem iść nam już na tamtą stronę.

A że prostemi przemawiałem słowy
I każda dusza była dla mnie bliska,
Nawet mię tacy czytali ludziska,
Którzy nie znoszą wierszowanej mowy.

SZCZĘŚCIE

Czem się ucieszyć mogą ludzie starzy?
Co odchodzącym ich smutek umniejszy?
Jeśli na dziecka kochanego twarzy
Zobaczą uśmiech szczęścia najpiękniejszy.

Czy go wywoła z włosami złotemi
Laleczką, kwiatek albo promień słońca,
To jest jedyna rzecz na naszej ziemi,
Na którą patrzeć pragniemy bez końca.

Bo coś z uśmiechu tego na nas spływa,
Coś nas dotyka skrzydłami srebrnymi
I duszy jawi się ta prawda żywa,
Że nie zginiemy bez śladu na ziemi.

Że choć na trumnę już się ziemia zwali
I choć zapomną o nas ludzie żywi,
To w swoich dzieciach żyć będziemy dalej,
Smutni ich smutkiem, szczęściem ich szczęśliwi.

W LESIE ŻYCIA

Wiem, że minęło dawno moje rano,
Że dzień mój zbliża się już do zachodu,
Więc gdy ktoś pnie się, tak jak ja za młodu,
Uczuвам w sercu radość niekłamana.

I jak ogrodnik bluszcz podpira młody,
Chciałbym podeprzeć go w tym górnym pędzie
I zawsze wierzę, że z niego coś będzie,
Jeśli nie braknie mu słońca i wody.

Ten nawet, który jest przy drogi końcu,
Gdzie tkwi drogowskaz jeden: bezpowrotność,
Mniej swego życia odczuwa samotność,
Gdy się ogrzeje przy młodości słońcu.

Jakże cudowny jest ten pęd powrotny.
Który nam wiecznie nowe formy niesie?
I dąb stuletni w młodym szumnym lesie
Czuje się młodszy i nie tak samotny.

DZIKIE PSY

Na dnie gdzieś duszy, jakgdyby pod ziemią,
Pod grubą warstwą skamieniałych złoży,
Wszystkie instynkta złe i ciemne drzemią
Jak psy, trzymane wiecznie na obroży.

Czasem w ciemnościach zaświecą ich ślepią,
Lecz jeśli który do ataku ruszy
I swemi kłami twych nóg już się czepia,
Skomląc ucieka przed wzrokiem twej duszy.

Bo dusza ludzka jest tak jak ognisko,
Wśród nocy czarnej, pełnej oszołomień:
Wilk najgłodniejszy nie podejdzie blisko,
Jak długo tli się jego złoty płomień.

I tylko nie dać się zaskoczyć trwogą
I trochę hartu mieć w każdej potrzebie —
Kto chce przez życie swe przejść jasną drogą,
Musi pogromcą być samego siebie.

DZIEŁO

Cóż bardziej cudne, niż nad dziełem praca,
Które zapelnia myśli i marzenia
I do którego codzien się powraca
Z młodą, junaczą radością tworzenia?

W oczach nam rośnie biały plik papierów,
Na których ręka słów kolumny kreśli.
Żyje się życiem swoich bohaterów
I ich myślami wyłącznie się myśli.

Ale nadchodzi wreszcie taka chwila,
Gdy w progu staje wypełnienia goniec,
Gdy nad swem dziełem twórca się nachyla
I pisze w skrypcie krótkie słowo: koniec.

Uczucie szczęścia zawsze wtedy przegna
Żal za tworzenia radosnemi dniami.
Coś już odchodzi, coś się z nami żegna,
Coś nas opuszcza i ginie za mgłami.

Próżno zatapiasz wzrok głodny i wilczy
W gęstwinę stronic, w twór swojego ducha —
Skrypt tak niedawno rozśpiewany, milczy,
Skończona książka jest niema i głucha.

ŚWIAT JEST JAK OGRÓD KWITNĄCY

I znowu dziś piękny dzień
Z oczyma dobreimi jak sarna.
Rozwiała się gdzieś i przeszła
Chmura piorunem ciężarna.

I znowu przez zieleń drzew
Złocistość słoneczna przesiąka.
Świat jest jak ogród kwitnący,
Niebo nad głową jak łąka.

A pod szmaragdem tych łąk
Gołębi srebrzystych gromada
Zatacza koło ogromne
I cicho na ziemię spada.

I ludzie na drodze mej
Są tacy pogodni i mili,
Jakby wyzbyli się jadu,
Jakby się złości wyzbyli.

A może to tylko sen,
Co nową mi burzę przytoczy?
Może wróciłem z podróży,
Gdzie śmierć spojrzała mi w oczy?

I przez to mam w duszy śmiech
I tak wiosenną słoneczność,
Że życia dzień jest piękniejszy
Niż czarna, nieznana wieczność?

KSIĘGA ŻYCIA

W nocach bez końca, kiedy spać nie mogę
I węże wspomnień wypełzają z cienia,
Lubię czasami spojrzeć z oddalenia.
Na całą dotąd przebytą już drogę.

Wtedy otwieram wielką księgę życia
(Zowie się księgą główną w buchalterji)
I pośród cyfer nieskończonej serji
Robię ciekawe dla duszy odkrycia.

Choć mi się lało z bardzo wielu rynien,
Na każdej stronie rachunku przejrzystość,
Bo pilnie dbałem o bilansu czystość,
I o harmonję między „ma“ a „winien“.

A jednak zawsze w ostatecznej sumie,
Choć się zgadzają pojedyncze strony,
Wyłazi jakiś błąd niedostrzeżony,
Którego w pierwszej chwili nie rozumię.

Minęły lata, więc nie będę badał
Tego, co widzę dziś czarne na białem —
Może dawałem więcej niżli brałem?
A może ktoś mię po cichu okradał?

Z tego, co mówi życia księga główna,
Komuż już dzisiaj rachunek potrzebny?
Śmierć pociągnięciem swojej kosy srebrnej
Wszystkie rachunki niedługo wyrówna.

ŻNIWA

Pełen dojrzałych kłosów łan
Chwieje się sennie w złotem słońcu...
Jak morze płynie w srebrze pian,
Nie myśląc o swym bliskim końcu.

Drożyną gdzieś od strony wsi
Gromada żeńców w pole kroczy.
Spłonęły maki barwą krwi,
Bławaty skryły modre oczy.

I nagle, jakby ktoś dał znak,
Łan znieruchomiał w cichym lęku:
Ci żeńcy, choć weseli tak,
Coś niedobrego niosą w ręku.

Brzęknęły sierpy, pada kłos,
Po łanie niesie się zatrata.
Taki jest zbóż dojrzałych los,
Takie jest twarde prawo lata.

I taki jest już rzeczy bieg
W dolinie i na istnień szczycie,
Że trzeba aby jeden legł,
By drugi zaczął nowe życie.

Na Anioł Pański zagrał dzwon —
Łez rosa ścięte pola skrywa.
Wszystko na świecie ma swój zgon,
Wszystko na świecie ma czas żniwa.

RADOŚĆ SPOTKANIA

Mijamy wszyscy cicho, powolutku,
Ze sercem pustem tak, jak dom bez gości,
Płynąc po morzu przeogromnem smutku,
Gdzie jest tak mało przyładek radości.

Ludzie są głusi, jak zamknięte bramy,
Troski się czają tak, jak psy w ukryciu,
Za wiele ludzi codziennie żegnamy,
Za mało mamy pięknych spotkań w życiu.

Gdzież ci, co z nami rozpuszczali żagle
W podróż przez lata szalone i młode?
Płynęli z nami i ginęli nagle,
Jako kamienie rzucane na wodę.

Czasem, gdy puszczę mym wspomnieniom wodze,
Gdy mi się marzy druha twarz kochana,
Ta twarz wyrasta nagle na mej drodze,
Jakby tęsknotą serca wywołana.

I kiedy jego dłoń ma ręka trzyma,
Gdy twarz wzruszenia pokrywa mi bladość,
Nie pytam o nic, lecz tylko oczyma
Pragnę wyrazić mu swej duszy radość.

Jak nam się wiedzie obu, to najmniejsze —
Raduj się chwilą i pieść jak ja pieszczeń...
Przecież z wszystkiego to jest najpiękniejsze
Kochany bracie, że żyjemy jeszcze.

TATRY O ZACHODZIE

Lubię wieczorem w zadumania chwili,
Gdy słońce wchodzi w Chochołowską bramę,
Spoglądać z okien mojej białej willi
Na Tatr rozległą, cudną panoramę.

Gdzie tylko wyślę mych oczu tęsknotę,
W mego widzenia rozległym promieniu
Wierchy i hale od zachodu złote
I ciche lasy w szmaragdowym cieniu.

A nad górami wielki błękit jeden,
Oddzielający ziemię od zaświatu,
Gdzie wyplakany opal i seledyn
Przechodzi w turkus i w ciemność granatu.

W mgłę fioletowej drzemią śniegi wieczne,
Białe przełęczce, żeby i wąwozy.
Tatry są dobre, ciche i słoneczne,
Jak olbrzym, który pozbył się swej grozy.

Ale pod maską słoneczną w swej głębi
Jak dusza ludzka pełne są tajemnic,
Dzikich przepaści, których tchnienie ziębi,
I wzrokiem ludzkim nieprzebitych ciemnic.

Zamarłych turni i skalnych cmentarzy,
Gdzie w pustce głuchej, zamarłej i białej
Lęk jeno mieszka o poblądłej twarzy
I śmierć, ostrzająca swą kosę o skałę.

OTWARCIE DRZWI

Na kogo w życia ustawicznym tarcu
Spadały kwiaty i klęsk twarde pięście,
Ten pozna zaraz już po drzwi otwarciu,
Co wchodzi drzwiami — szczęście, czy nieszczęście.

Nieszczęście wchodzi chytrze, pokryjomu,
Długo na klamce zimną ręką trzyma;
I ledwie stanie w progu twego domu,
Mówi ci wszystko twarzą i oczyma.

Napróżno chciałbyś zatkać wtedy uszy,
Aby opóźnić słowo srogiej wieści,
Bo wpadł już w głębie załęcznionej duszy
Zły skrzyp zawiasów, zwiastunów boleści.

Szczęście zaś wpada głośno i z pośpiechem,
Co drzwi z zawiasów omal nie wrywa,
Z tym najpiękniejszym, radosnym uśmiechem,
Jaki zna tylko kobieta szczęśliwa.

Jej wzrok tve oczy rozkochane pije
Przez moment krótszy, niżli błyskawice —
I zarzucając białych rąk lilije,
Szepce ci w ucho słodką tajemnicę.

MODLITWA O ŚNIEG

O Marjo, bielsza nad śniegi
I czystsza od śniegów lśnienia,
Wysłuchaj prośby pokornej
I ziemi i wszechstworzenia.

Strząśnij ze szaty swej srebro,
Nizane gwiaździstym ściegiem —
Niech spadnie na ziemię biedną
Puszystym srebrzystym śniegiem.

Posłusznym rozkaż aniołom,
By mioteł chwycili brzemię
I drogi mlecznej pył srebrny
Strącili na szarą ziemię.

Niech się roziskrzy na polach,
Na dróg rozbieli się wstążce
I niech się rozbrylantowi
Na każdej drzewa gałązce.

Niech białą czapką okryje
I strzechy i dachy uli —
I nasze serca zmęczone
Strudzone niechaj otuli.

Za wszystkie nasze cierpienia,
Za życia mitręgę całą,
Tą jedną łaskę nam daruj:
Wyczaruj nam zimę białą.

MIŁOŚĆ ZWYCIĘŻA

Gdy wiesz, że jesteś kochany nad życie
I nie potrafisz tego odwzajemnić,
Kart nie odkrywaj, bo takie odkrycie
Może na zawsze komuś szczęście ściemnić.

I prawda będzie mu gorsza od śmierci
I już nie wyjdzie nigdy z smugi cienia
I serce jego poszarpie na ćwierci
Krzywda, dla której niema wybaczenia.

Bo może kiedyś zgaśnie czar omamień,
Które trzymają cię jak w splocie węży,
I tak jak kropla, co wydrąży kamień,
Ta wielka miłość i ciebie zwycięży.

A wówczas pewnie będziesz błogosławił
Tych nieszkodliwych kłamstw codziennych krocie,
Przez któreś nigdy cierpienia nie sprawił
Oddanej sobie tak bardzo istocie.

A wówczas będziesz całował te ręce
Dla ciebie dobre i czule jedynie,
Które koły cię w bólu i męce
I oczy zamkną ci w śmierci godzinie.

PRACA MYŚLI

Od pierwszej chwili człowieka urodzin
Aż do momentu, gdy go śmierć przekreśli,
W nieobliczalnym korowodzie godzin
Trwa nieprzerwanie cicha praca myśli.

W życiu przyrody zawsze okres bywa
Spoczynku ziemi wśród lodowych oków,
A wtedy drzewo i kwiat odpoczywa,
Zanim poczuje znów krążenie soków.

A myśl za nami idzie jak pies gończy,
Najgłębsza przed nią nie skryje nas studnia —
I nawet we śnie nigdy się nie kończy,
Ale swą treścią życie snów zaludnia.

Napróżno chciałbyś spocząć po ich wrzątku
I zetrzeć myśli z czoła zimną dłonią;
Są tak jak chmury — nie znasz ich początku
I nie wiesz dokąd tak pod czaszką gonią.

Wśród dnia głośnego czy nocy milczącej
Nie mają jednej spoczynku godziny —
O męko myśli, wiecznie pracującej,
Jakże cierpimy nieraz z twej przyczyny!!

DON KICHOT

Gdzie tylko widzę uciśnioną cnotę,
Krzywdę lub przemoc, nieszczęście lub nędzę,
Na Rozynancie moim zaraz pędzę,
Mając w swych oczach iskry gniewu złote.

Tyle w tych walkach nazbierałem sińców,
Że coraz słabsze są ciosy mej dłoni
I coraz wolniej mój wierzchowiec goni
Po twardym bruku dalekich gościńców.

Więc nieraz nocą chwyta mię zwątpienie
I pod naporem myśli spać nie mogę,
Czy dobrą w życiu swem obrałem drogę,
Gromiąc wiatraki i zwalczając cienie?

A gdy tak męczę się, aż świt najrańszy
Przystroi okna izby w blade kwiaty,
Słyszę wyraźnie z sąsiedniej komnaty
Głośne chrapanie mego Sanszo Panszy.

DIOGENES

Jak grecki mędrzec z latarnią
Po wielkiem wędruję świecie.
Mem mieniem: kostur pielgrzymi
I szary worek na grzbiecie

I dukat serca czerwony,
Ukryty gdzieś w sakwie na dnie,
Więc wiem, że żaden złoczyńca
Na drodze mię nie napadnie.

Wędruję długie już lata,
Ogromną odbyłem drogę,
A dotąd tego co szukam
Na świecie znaleźć nie mogę.

I choć niejeden przechodzień
Natręctwu memu zlorzeczy,
Podsuwam światło latarni
Do każdej twarzy człowieczej.

Do każdej zaglądam chaty,
Do każdej karczmy zachodzę —
Tak wiele słupów milowych
Minąłem na swojej drodze.

Dopala się świeca życia
A droga jeszcze daleka —
Nim zgaśnie światło latarni
Czy znajdę wreszcie człowieka?

WIOSNĘ JUŻ MAMY PANOWIE!

Wiosnę już mamy panowie!
Zwycięsko po ziemi kroczy.
Kto prawdzie żywej nie wierzy
Niech szerzej otworzy oczy.

I niech jak Tomasz niewierny
Murawy dotknie się miękkiej
I bzu najpierwszy listeczek
Niech weźmie do ciepłej ręki.

Codziennie jawi się oczom
W złotych poranków jasnościach,
Codzień czujemy ją w sercu
I w starych czujemy kościach.

Co wczoraj było tak szare,
Dzisiaj wygląda różowo.
Cośby się chciało przekreślić
I coś rozpocząć na nowo.

Cośby się chciało wyplątać,
Co dawno ugrzęzło w matni
I swemu szczęściu naprzeciw
Wyjść jeszcze po raz ostatni.

Bo ten kto w sobie nie wierzy,
Ten własną wartość umniejsza.
Wiosnę już mamy panowie!
A to jest rzecz najważniejsza.

SIEDZĄC W FOTELU

Siedząc w fotelu, wśród refleksów złotych,
Jakie na pokój żar kominka rzuca,
Czy pomyślałeś bracie kiedyś o tych,
Którym węglowy pył wyżera płuca,
Kiedy w kopalniach jak gromada mar
Dla ciebie ciepła wykradają dar?

Żyjąc w komnatach, gdzie panuje przepych
I na dywanach śpią twe wierne pieski,
Czy pomyślałeś o tych norach ślepych,
Gdzie grzyb na murach kwitnie w arabski
I gdzie codziennie zjawia się u wrót
Kuma choroba i towarzysz głód?

Wznosząc się w niebo miłości jak pilot,
Czy myślisz o tych, którzy tam na dole
Ze sercem zdradą przesytem na wylot
Wiją się w męki bezlitosnem kole
I którym światło wieczorowych zórz
Na oknach pisze krwawo: nigdy już!?

Na los się skarżąc, czyś pomyślał o tem,
Że trud milionów życie twoje tworzy,
Że świat ten ludzkim zroszony jest potem,
Że tylu ludziom jest o wiele gorzej,
Że wszędzie wokół aż po ziemi kres
Huczy ocean przegromny łez?

ZGUBIONY SIERP ŚMIERCI

Jesień dobroci ma tyle,
Taką uśmiechu słoneczność,
Jakgdyby chciała na chwilę
Powstrzymać zgonu konieczność

I drzewom, co się już złocą
I kwiatom, co w rosach mokną
I ludziom, do których nocą
Ktoś puka tajemnie w okno,

I wiatr szeleści nam o tem
I strumień o tem nam szemrze,
Że w słońcu jesieni złotem
Przez chwilę choć nic nie zemrze.

Lecz zanim zapłaczą deszcze
I ziemia mgłą się zachłyśnie,
To po raz ostatni jeszcze
Rumieńcem życia zabłyśnie.

I niebo jest tak jak łąka
Nieskończonością pachnąca,
A w błękit przeczysty wsiąka
Wąziutki pasek miesiąca.

Więc wzrokiem, gdy po nim wodzę,
Ten znak mi mówi podniebny,
Że śmierć zgubiła po drodze
Swoją sierp błyszczący i srebrny.

NA ŁĄCE

Na pachnącej tej łące
Upadniemy na wznak —
Wokół lasy szumiące,
Lecz tu cicho jest tak.

W żar bijący od ziemi
Kwiatów wsącza się woń.
Nad głowami naszymi
Niebo chyli swą toń.

Jeno dusza zawisnąć
W tym lazurze bez dna,
Jeno raz się zachłysnąć
Szczęściem, póki czar trwa.

Słyszysz? trawy źdźbło drgęło,
Jak rodząca się myśl:
To, co było, minęło,
Wypij do dna swe „dziś“.

Bo gdy zgaśnie blask słońka
I las rzuci swój cień,
Trawą stanie się łąka,
Jak codzienny twój dzień.

MOWA STARYCH SPRZĘTÓW

Lubię tych godzin przedwieczornych smęt,
Gdy świat odkrywa swoją głąb tajemną
I w cichym domu każdy stary sprzęt
Rozmawia ze mną.

Fotel mi mówi: wiatr jak dzisiaj dął
I na kominek dorzucono polan,
A po mych frendzlach ktoś mały się piął
Do matki kolan.

Biurko mi mówi: gdzież studencik ten
Z piórem wyrwanem potajemnie gąsce
I gdzież ta główka tak jasna jak len
Wtopiona w książce?

Szafa mi mówi: byłam dumna tak
I ciepło wspomnień jeszcze mię przenika,
Gdy w mojem wnętrzu zawisł pierwszy frak
Akademika.

I tylko Chrystus, co do krzyża wrósł,
Milczy, jakgdyby zastygł z mąk ogromu
I myśli o tych, którzy w taki mróz
Nie mają domu.

POŚPIECH TWÓRCZOŚCI

Dawniej, gdy byłem tak prześlicznie młody,
Życie mię więcej bawiło niż praca,
Bo młodość zawsze swą głowę odwraca
Na uwodzące wołanie przygody.

Dzisiaj, gdy drogga przedemną się kurczy
I w piersiach niema dawnego oddechu,
Jest w mojej pracy gorączka pośpiechu
I nie gasnący już niedosyt twórczy.

Sto serc bijących chciałbym mieć w swem łonie.
Sto ócz, by wypić przestwór słońca złoty
I chciałbym zgarnąć w niewód mej tęsknoty
Całego świata piękno i harmonję.

Bo zdaje mi się, żem przed duszą własną
Zaciągnął jakieś długi bez pokrycia
I nie wiem, czyli wystarczy mi życia,
Abym je zwrócił, nim me oczy zgasną.

LOTNICY

Sztylet przy boku, srebrny ptak na piersi,
Oczy upite bezkresem przestrzeni —
Lotnicy! serca drухowie najszczerzy,
Bo spójnią serca ze mną połączeni,
 Jakże was Kocham...

Na szarej ziemi jednakie my ptactwo,
Jednaki los nasz i jednakie życie
I takie same gorze w nas junactwo,
Aby rozstrzępić na złociste nacie
 Swą krótką istność.

Aby przed nocą, która na nas czyha,
Aby przed bliskim drogi naszym końcem
Do dna wychylić słodką treść kielicha,
Który po brzegi napełniony słońcem
 Radości życia.

Przeto, gdy lotnik płynie błękitami,
Nie czuję lęku nieznośnej katuszy
Jak długo motor jeszcze w uszach gra mi —
Bowiern to jedno zrozumiałem w duszy:
 Cisza jest śmiercią!

BAJKA ZAMARZNIĘTYCH OKIEN

Ci, których dusze w szarych troskach mokną.
Nie widząc czarów, jakie rzuca zima,
Niech ze mną spojrzą dziś dziecka oczyma
Na zamarzniete o poranku okno.

Lodem i szronem ściał je wiatr od pola
W koronkę pełną najdziwniejszych wzorów,
Lecz zrazu szare jest i bez kolorów,
Jak ludzkie życie i jak ludzka dola.

Dopiero skoro słońce je ozłoci
I zaróżowi się lodowa płyta,
Na szybach bajka cudowna zakwita:
Gąszcz palm, srebrzystych krzewów i paproci.

Przedziwne drzewa w srebrnych szronów chrzęście,
Których konary oplątują ljanya,
Las tajemniczy, kiedyś w snach widziany,
W którym ścieżyny wszystkie wiodą w szczęście.

Tysiąc djamentów wśród liści się pali
I tylko czekasz tej cudownej chwili,
Gdy z brylantowej gąszczy twarz wychyli
Księżniczka lodów, biała Ilajali.

Lecz zanim zjawi się w srebrnej sadybie
Ta, która w mrozu powstała tęsknocie,
Drzewa i krzewy, ljanya i paprocie
Tają i łzami spływają po szybie.

LEKARZ

Gdy już zgłębiłem źródło wszystkich mąk,
Które wplatają świat w boleści koło,
Będę uzdrawiał was kładzeniem rąk,
Jako nakazał Chrystus Apostołom.

I poprowadzę was przez ciemną noc
W cichą krainę, gdzie niema cierpienia,
Tylko uwierzcie, że mam w sobie moc,
Co się przez ręce moje wypromienia.

Tylko uwierzcie z całej duszy wprzód,
Że was nie zwodzę kuglarską zabawą,
Że to co czynię, to nie żaden cud,
Ale odwieczne wszechistnienia prawo.

Matka, gdy kładzie dobrą białą dłoń
Na swego dziecka rozpalonem czółku,
Tym samym gestem nie dopuszcza doń
Śmierci, czającej się w czarnym zaułku.

Są ręce, które goją rany drzew,
Przydają kwiatom koloru i woni
A więdnie róża i usycha krzew,
Skoro nie czują kochającej dłoni.

Tylko tą jedną tajemnicę znać
A ludzie żyliby jakgdyby w niebie:
Wszystko co dobre z siebie drugim dać,
Co złe i boli drugich — przyjąć w siebie.

CHOCHOŁY

Jakgdyby białej zimy znak widomy
Tam, gdzie róż krzaki kwitnęły na grzędzie,
Dziś w ciepłych sukniach ze złocistej słomy
Stoją chochoły jak żołnierze w rzędzie.

Gdy spojrzę w ogród przez mej willi okno,
Widzę je wszystkie jak na dłoni z bliska —
Marzną na mrozie i na śniegu mokną,
Nie opuszczając swego stanowiska.

Kiedyś w samotny i zimowy wieczór,
Gdy Wyspiańskiego przypomni się zwrotka,
Moje chochoły w krakowskim narzeczu
Przez drzwi werandy zaproszę do środka.

I wiem, że przyjdą ścieżyną wiadomą
Ci tajemniczy goście i bez twarzy
I że zasiądą, szeleszczący słomą,
Za moim stołem jak druhowie starzy.

I że mi wieści przyniosą radosne,
Wchłaniane sercem zdumionem i cichem,
Że w mym ogrodzie na najbliższą wiosnę
Róże zakwitną królewskim przepychem.

A gdy chochoły odejdą o świcie,
Rankiem służąca zadziwi się srodze,
Bo pozostawią po swojej wizycie
Kilka źdźbeł złotej słomy na podłodze.

PRAWDA

Hej! gdyby można wyjść na światło z ciemnic!
Jedno nas zbliża, a drugie oddala.
Ile jest ludzi, tyle jest tajemnic,
A zna je tylko śmierci siódma fala.

Choć myśl na czole swoje znaki kreśli
I często czai się w fałdów ukryciu,
Nigdy nie wiemy, co ktoś drugi myśli,
Choćby najbliższą był istotą w życiu.

Słowo też kłamstwem, nie znasz jego treści.
Dusza w człowieku jak Piotr się zapiera:
Najbardziej zdradza wtedy, kiedy pieści,
Najbardziej kocha, kiedy poniewiera.

Więc nic nie mówmy — mowa jest tak pusta.
Któż z grania fali poznał morza głębie?
Jedyną prawdą są tve młode usta
I twoich piersi dwa białe gołębie.

ALEJA DUMAŃ

Mam park a w parku aleję lipową
Prostą i długą coś na dwieście kroków,
Zkąd widać ścianę lesistą Trzech Koron
I hale śpiące pośród górskich stoków.

Nad głową niebo błękitne jak bajka
Lub Rafaela słodkie malowidło,
A przez to niebo płynie srebrny obłok,
Jak Archaniola zagubione skrzydło.

Pół mej aleji słońce wzięło w jassy,
Drugą połowę roztańczone cienie.
Tu lubię skryć się i tutaj codziennie
Odbynam długą swą podróż w marzeniu.

Granicą między fioletowym cieniem
A roziskrzonym i słonecznym złotem
Idę wędrowiec szlakiem swoich myśli
Z końca do końca, i tam i z powrotem.

Nieświadom czasu, nieświadom przestrzeni
Przemierzam mile wśród nawrotów wielu,
Choć wiem, że nic mię nie czeka przy końcu,
Że to jest podróż bez kresu, bez celu.

Lecz się nie czuję w tej drodze samotny,
Bo gdy przed słońcem przymknę swoje oczy,
Słyszę jak przy mnie po skrzypiącym żwirze
Ktoś bardzo bliski równym krokiem kroczy.

To moje myśli, to moje wspomnienia,
To tajemnice ukrywane skrycie —
Białą aleją i tam i z powrotem
Idzie wraz ze mną całe moje życie.

Gdy wejdę w słońce, to co było piękne
Raz jeszcze w duszy blask swój wypromienia.
To znów się jawi, to co było liche,
Gdy w mej aleji wejdę w smugę cienia.

Czy potępiony mam być tylko za to,
Że jestem słaby, że człowiekiem jestem?
Moja aleja, choć wszystko wie o mnie,
Wita mię zawsze lip cichym szelestem.

I choć dotarła, tak jak nikt na świecie,
Do ostatecznych mego serca głębin,
Śmieje się do mnie złotem swego słońca
I koralami swych krasnych jarzębin.

RYBAK

Gdy słońce krwawo nad morzem zachodzi,
Nim wicher fale wzburzy i zbałwani,
To stary rybak szuka dla swej łodzi
Cichej przystani.

A sam w zaciszu rodzinnej sadyby
Przy blasku pieca, co na izbę świeci,
Słuchając wichru, który bije w szyby,
Naprawia sieci.

A ja, też rybak ze srebrem na skroni,
Który mój wszystkich przemierzyłem drogę,
W swojej wieczystej za łowem pogoni
Spocząć nie mogę.

I wiem, że nigdy nie spocznę w dosyć,
Choćbym rozdzielił się i przepołowił,
Bo mię codziennie pyta twarde życie:
Coś dzisiaj złowił?

REKWIZYTORNIA ŻYCIA

W rekwizytorni mego życia
Przeróżne rzeczy mam na składzie.
Nieraz dobywam je z ukrycia,
Gdy mrok na okna palce kładzie.

I zatopione w smudze cienia
Serce się moje z niemi pieści,
Bo te drobnostki bez znaczenia
Tak wiele mają dla mnie treści.

Oto zegarek — lśni się skromnie
Srebrem, lecz droższy od tysięcy.
Stanął, gdy szczęście przyszło do mnie
I odtąd już nie chodzi więcej.

Oto ołówek — starty prawie,
Bo przez czas długi był w użyciu.
Pisałem nim na szkolnej ławie
Pierwszy poemat w swoim życiu.

Oto gwóźdź długi, wbity w ścianę,
Ukryty we framugi mroku.
Wszystkie marzenia me świetlane
Wieszałem na nim rok po roku.

I oto kalendarzyk ścienny,
Gdziem krzyżem znaczył smutne chwile,
A kółkiem każdy dzień promienny —
I gdzie jest tych krzyżyków tyle.

GODZINA

Bije godzina na kościelnej wieży,
Upada w serce me za tonem ton.
Wiem, że mi znowu kawał życia mierzy
W drodze ku stacji, co się zowie Zgon.

Patrzę w swą przeszłość, ginącą i mglistą —
Hej! były chwile, gdym szumiał, jak las...
Czemuż tak śpieszno, panie maszynisto?
Jeszcze do celu dojedziemy wczas...

Lecz próżno krwawię na hamulcach pięście,
Lina sygnału w mych rękach się rwie.
Na cudnej stacji, co się zowie Szczęście,
Mój pociąg więcej nie zatrzyma się...

STŁUCZONE ZABAWKI

Coż ci dziecino? stłukła się zabawka,
Więc teraz z oczu łzy ci płyną strugą?
Wiem, wiem... złych duchów na świecie to sprawka,
Że to co piękne nigdy nie trwa długo.

Daj mi czerepy... jestem taki majster,
Że nie opuszcza mię nigdy nadzieja.
Mam w tym słoiku przecudowny klajster,
Który to wszystko co rozbite skleja.

Długo zbierałem wszystkie zioła ziemi
I soki żywic z kory drzew otwartej
I klej ten łzami zlewałem własnymi,
Ażeby stał się jeszcze bardziej zwarty.

Więc dziś, gdy srebro na skroniach mych świeci,
Nikommu skarbu nie żałuję dawki
I gdy przychodzą z płaczem duże dzieci,
Zlepiam im szczęścia stłuczone zabawki.

NARCIARZ

Po wielu trudach dobiwszy do szczytu
Stał tam czas jakiś cichy, nieruchomy,
Jakby wrosnięty w niebiosów ogromy
Czarną sylwetką na ścianie z błękitu.

Przez długą chwilę pił rozkoszą oczu
Bezkres przestrzeni czystej i bez końca,
Szczyty iskrzące się w promieniach słońca
I białe śniegi na bezkresnem zboczu.

A potem ruszył w dół po stromej górze,
Złobiąc nartami dwie bruzdy na śniegu,
Z każdą sekundą coraz szybszy w biegu,
W pyłach śniegowych jak w srebrzystej chmurze.

Hej cudny locie! byle tylko nie paść,
Zarywszy w śniegi nart skrzywionym bokiem —
Wtem przed narciarza załknionem okiem
Zamajaczyła przeogromna przepaść.

Nie stanie w biegu, kto się niebem upił,
Więc w jednej chwili lęk ten przewyciężył,
Wsparł się na kijach, mięśnie wyprężył
I w samym sobie do skoku się skupił.

A potem wzleciał niby ptak w przestworze
Ponad wierzchołkiem karłowatej sosny
I pognął dalej młody i radosny
Przez białych śniegów rozsrebrzone morze.

UCIECZKA

Wiem, że mój cały czas muszę do końca przeżyć,
Chociażby z losem złym trzeba się nieraz zmierzyć,
Więc poprzez cierpień las, przez smutki me i bole
Zawsze nadzieja lśni, jak słomy źdźbło w stodole.

Lecz czasem szarość dni, tak duszę mą przytłoczy,
Że chciałbym przed się iść, gdzie mię poniosą oczy,
Tam gdzie bezbrzeżność pól, gdzie nieskończoność
śniegu

I taki spokój już, jakby na tamtym brzegu.

Tam, gdzie się pali wierch nad śniegów białych ciszą,
Gdzie pośród skalnych ścian lawiny śpiące wiszą,
Które czekają wciąż na moment swych wyzwolin,
Ażeby urwać się i runąć w przepaść dolin.

A choćby płakał ktoś, żem z nim się nie pożegnał,
Milczałbym tak jak ten, który wspomnienia przegnał,
A choćby wołał ktoś w pustyni tej śniegowej,
Na żaden ludzki głos nie odwróciłbym głowy.

I tam gdzie smreków las w okiściach srebrnych tonie,
Na śniegów zimny puch złożyłbym swoje skronie
I czekałbym aż śnieg w wieczoru cichą chwilę
Zasypie serce me, które cierpiało tyle.

STACJE

Już dojechałem w życiowej podróży
Do stacji z czarnym napisem: Pół wieku.
Napróżno proszę konduktora: Człeku
Bądź dobry! tutaj zatrzymaj się dłużej.

Po cóż przeganiać, co się nie da przegnać?
W tem tempie dalej jechać już nie mogę.
Chcę raz choć spojrzeć na przebytą drogę
I z tem co przeszło pragnę się pożegnać.

Spoczniemy trochę i wychylmy kielich —
Wspaniała podróż, a jednak się smucę,
Bo wiem, że nigdy więcej nie powrócę
Do owych stacji, któreśmy minęli.

Konduktor spojrział na wiednące liście,
Na czarne niebo bez najmniejszej gwiazdy,
Jakby wyczytać chciał z nich rozkład jazdy
I białą ręką dał znak maszyniście.

A potem rzekł mi: W cierpliwość się okuj.
Pędzić musimy dalej bez wytchnienia,
Aż nam wyłoni się z tej nocy cienia
Ostatnia stacja, co się zowie: Spokój.

PYTANIA

Kim jestem? może tylko lichym pyłkiem,
Po którym żaden nie zostanie ślad
I co stworzyłem serdecznym wysiłkiem
Nie więcej miało życia niżli kwiat?

Czy wydobyłem coś z tej mrocznej toni,
Gdzie leży serca zatopiony dzwon
I czy do świata wieczystej harmonji
Dodałem chociaż jeden własny ton?

Czy do ostatka wypełniłem dzieło,
W Dobra i Piękna zawsze wierząc cud,
Czy mam przekreślić wszystko co minęło
I od początku zacząć życia trud?

Komu mam wierzyć? tym co mię wynoszą,
Żem do serc ludzkich umiał znaleźć klucz,
Czy tym co moją małość wokół głoszą,
Piasek zawiści sypiąc mi do ócz?

Takie pytania wypełzają skrycie
Z mrowiska myśli, jakbyś wbił w nie żerdź —
Wiem, że mnie męczyć będą całe życie
I że odpowie na nie tylko śmierć.

WYŁADOWANIE

Tylko nie mówcie mi o życiu szarem
W tej mego życia najwyższej godzinie.
Szalony jestem dzisiaj sił nadmiarem.
Gdzie go podzieję? co ja z nim uczynię?

Niechaj się złoci mej duszy południe!
Do nocy jeszcze daleko, daleko...
Zamączę wody, co leniwie cieką,
Wzruszę aż do dna ciche, martwe studnie.

A potem nagi wytarżam się w trawie
Niby w ros pełnej szmaragdowej misie.
Niech ludzie, widząc jak me ciało skrzy się,
Wiedzą, że ja się — duch swobodny — bawię.

Graj mi szumiący, rozhukany borze!
Niechaj wraz ze mną tańczą skały, lasy...
Z potężnym wichrem wezmę się w zapasy
A błady księżyc zatopię w jeziorze.

A kiedy górnych przestrzeni zapragnę,
Albo uciesznej, rozpętanej jazdy,
Czuby dwóch sosen aż do ziemi nagnę
I wściekłym rzutem wzlecę między gwiazdy.

Z CZEGO ŻYJĘ?

Szuka napróżno źródła mych dochodów
Ten, kto na życie moje z boku patrzy,
A nie wie o tem, że jestem bogatszy
Niż maharadża indyjskich narodów.

Bo gdy ogarnię wszechświat swą tęsknotą,
Gdy myśli pomkną, jak jaskółki chyże,
Wszystko, do czego tylko się przybliżę
W tyglu mej duszy przetapiam na złoto.

A wtedy z duszy pełną garścią czerpię
I żyję z uczuć, zachwytów i wrażeń,
Z łez wyplakanych, z niespełnionych marzeń,
Z tego co kocham i z tego co cierpię.

Z wieczornych godzin cichej melancholji,
Z bajek o szczęściu starych, siwych gazdów,
Z cudownych spotkań, z bolesnych odjazdów,
Z tego co cieszy i z tego co boli.

Więc choć w szaleństwie wszystkie skarby stracę
Nigdy nie ujrysz smutku na mem licu —
Mam jeszcze srebrne dobra na księżycu,
Od których żadnych podatków nie płacę.

A gdybym nawet został całkiem czysty,
Jeszcze nie poddam serca swego trosce —
U przyjaciela, gdzieś w zapadłej wiosce,
Zawsze posadę znajdę organisty.

ORGANY NOCY

Kiedy bezsenność odeгна cud spania
I czarny anioł otworzy kwiat duszy,
Z bezsennej nocy tajemniczej głuszy
Tak wiele dźwięków dla mnie się wyłania.

I płyną ku mnie z bliska i z daleka —
Jedne radują się a drugie żalą,
Spadają na mnie rozegraną falą
Głosy natury i głosy człowieka:

Słodkiej miłości harmonijka szklana,
Wydziedziczonych zły pomruk żebraczy;
Krzyk nienawiści, zbrodni i rozpaczy,
Grany na fletni zwanej „Vox humana“.

Wschodnie muzyki dzwonią taktem scherzów,
Sypie się piasek z pod kopyt wielbłądów,
Szumią mi palmy południowych łądów
Na koralowych wyspach ludożerców.

Spadają w przepaść wodospadem rzeki,
Dżungla zaczyna swój poranny pean —
Ale najgłośniejszy huczy mi ocean,
Choć taki obcy i taki daleki.

Słyszę jak bezmiar wód nieokiełzany
W głębinach swoich dziko się przewala,
Jak się ku niebu spiętrza siódma fala
I sunie naprzód na kształt groźnej ściany.

A potem pęka i spada jak potwór
Na zabląkane bryki i żaglowce
I białe piany, zwelnione jak owce,
Wciąga z okrętem w śmierci czarny otwór.

Tam za oknami gwiazd łagodna mleczność,
A tu bezsenność na krawędzi łoża...
Grajcie mi lasy i huczcie mi morza!
Jestem jak muszla, w której szumi wieczność.

Więc się nie bronię, bo wiem, że daremnie
Wzywać mi sennych, makowych haszyszy —
Wielka muzyka światów w nocnej ciszy
Nie jest poza mną, ale śpiewa we mnie.

I nie ogarnia mię wśród nocy trwoga
Przed Tajemniczem, Groźnem i Nieznanem,
Bo serce moje jest owym organem,
Na którym grają dobre palce Boga.

JESIEŃ W TYM ROKU...

Jesień w tym roku jest błękitno-złota,
Tak jak inicjał w starej księdze mnicha —
Jesień w tym roku jest dobra i cicha,
A niebo szczęścia otwiera nam wrota.

Wczoraj spojrzałem w to błękitów szczęście,
Złożywszy głowę na łące wśród wrzosów,
A srebrne trawy koło moich włosów
Drżały na wietrze w suchym szklanym chrzeście.

I las cichutko nademną zaszumiał,
Uwiędłe liście stracając na ziemię
I nagle wszystko to, co w tajni drzemie,
Serce pojęło i duch mój zrozumiał.

I tak mi dobrze było w tej godzinie,
Bom czuł się jeno częstką wszechistnienia,
Bratem tej trawy, wietrzyka i cienia
I białej chmurki, co przez niebo płynie.

Trwaj chwilo słodkich i cichych uniesień!
Kąp się me serce w przeczystym błękitcie!
Spraw Wiekuisty, by odtąd me życie
Dobre i ciche było jak ta jesień!!

WOŁANIE CHWILI

Spać... spać...

Z wciśniętem w poduszki obliczem
Tak długo w bezruchu trwać,
Aż noc nas wciągnie w swój lej,
W ciemność bez kształtu i lic,
Gdzie się nie myśli o niczem,
O doli dobrej czy złej,
O życia szarego męce,
O szczęściu zawsze zwodniczem —
Gdzie się nie pragnie nic
I gdzie się nie cierpi więcej...

Spać... spać...

Dlaczego to słodkie beczucie
Nie może bez końca trwać?
Bo każde oczu otwarcie
To nowe myśli ukłucie,
To nowa mitręga ducha
I nowa z troskami kadź
I ciągle nowe katusze —
Bo wiecznie patrzy nam w duszę,
Paskudnie, chytrze, uparcie,
Rzeczywistości ropucha.

Spać... spać...

PAJĄK

O każdej porze, wieczór czy o świcie,
Na niewidzialnej nitce przy suficie
 Tkwi nieruchomy.
Do jego sieci, uwitej dokładnie,
Teraz w zimowej porze nic nie wpadnie.
 Bez much są domy.

Zawsze wieczorem, gdy dusza się błąka
Po szlakach marzeń, patrzę na pająka
 Na mym suficie.
W pustce pokoju zawsze takiej samej
Jesteśmy jako dwie bezgłośne plamy,
 W których gra życie.

I z tej istotki w duszę moją splywa
Prawda przesądów starych wiecznie żywa,
 Świeża swą mocą.
I długo, zanim sen powieki skleci,
Ja i ten zwiastun mój dobrej nadziei
 Czuwamy nocą.

WYROZUMIAŁOŚĆ

Zawsze ostatni wydawałem cekin,
By życie zmienić w bajkę bez przebudzeń
I chodzić taki strojny jak arlekin
 Pozłótką złudzeń.

Zawsze puszczałem się na wielką wodę,
Gdzie mię syreny wabiły z ukrycia,
Ażeby w słodką zamienić przygodę
 Każdy dzień życia.

Zawsze radosnym wybiegałem krokiem,
Gdy szczęście wyszło na drogę mych marzeń,
I zawsze żyłem pod słodkim urokiem
 Uczuć i wrażeń.

Dzisiaj gdy kroki moje coraz cichsze,
Gdy każda droga wiedzie w smugę cienia,
Osłaniam tylko me serce na wichrze
 Płachtą wspomnienia.

I słucham tętna dzisiejszego czasu
I wszystko chciałbym w swem sercu zrozumieć —
A kiedy słyszę szum młodego lasu,
 Daję mu szumieć.

GŁOSY TĘSKNOTY

W pochodzie życia i w tętnie zdarzeń,
Mierzonych codzien przez planet obroty,
Wszędzie objawia się pozłotka marzeń,
We wszystkim dzwoni cichy ton tęsknoty.

Przez nią dopiero przed duszą się iści
Owo wewnętrzne piękno wszechistnienia:
W gałęzce drzewa smutnej i bez liści
O przysłej wiosnie czają się marzenia.

Niebo w daleką wpatrując się ziemię
Śle ku niej gwiazd swych szczęśliwą złocistość
I w oczach ludzkich baśń o szczęściu drzemie,
Choć już chłopięcą utraciły czystość.

Spada meteor i skier pióropusze
Zapala nagle na sierpniowym niebie:
To się zderzają ze sobą dwie dusze,
Które przez wieczność leciały do siebie.

Gdy czarne włosy nocy się rozplotą,
Z nieznanej dali wciąż nas coś przyzywa.
Może tęsknota to jest za tęsknotą,
Wszędzie obecna i wieczyście żywa?

SPOKÓJ

Gdy byłem młody, kochałem tak burze,
Dziś przed spokojem jeno duszą kleknę —
Spokój w człowieku i spokój w naturze
Czyż nie są piękne?

Ile ma w sobie nieziemskiego czaru
Morze wieczorem, po słońca zachodzie,
Gdy wśród cichego błękitów obszaru
Usnęły łodzie?

Jakże jest piękny las, gdy nad nim wiszą
Bezbrzeża nocy, pełne gwiazd jasności
I skalne wierchy zadumane ciszą
Nieskończoności?

I wielka, w morze wpływająca rzeka
I pole, gdy je wiatr luty ośnieżył —
Lecz najpiękniejszy jest spokój człowieka,
Co wszystko przeżył.

Który przebacza wszystko i rozumie
I swoją duszą jest na takim szczycie,
Że już z uśmiechem jeno patrzeć umie
Na całe życie.

ROZMYŚLANIA

Rzeczywistości każdy z nas się trzyma
Wierząc, że wszechświat jest wiecznym ruchem,
Choć tego ruchu nie widzi oczyma
I gwiazd obrotu nie złowi swem uchem.

Gdzież zatem pewność, że to co widzimy
Na naszym świecie istnieje istotnie?
Gdzie podziewają się błękitne dymy
I chmurka, niebem płynąca samotnie?

I wieczna krzywda i męka człowieka
I te łzy gorzkie, których nikt nie otarł —
Czy w piach wsiąkają, jak podziemna rzeka,
Do której źródeł nigdy nikt nie dotarł?

A może wszystko to jest snem jedynie
Jakiegoś Boga na gwieździe dalekiej
I z ową chwilą przypadnie i zginie,
Gdy się przebudzi, otwarłszy powieki?

CI, KTÓRZY SIĘ NIE ZNAJDA

Znaleść człowieka! czy jest jakiś sposób,
By go wyłowić niewodem tęsknoty?
Żyjemy tylko w małym kręgu osób,
Których nam losu podsuwają psoty.

I często, chociaż wszystkie mówią znaki,
Że są z odmiennej gliny ulepieni,
Tak się czepiają sukni, jak bodjaki
W czasie pogodnej i suchej jesieni.

Widzisz ich wszędzie, gdzie się człowiek ruszy,
Lecą do ciebie, jako ćmy do świecy,
A ci co mogli być najbliżsi duszy,
Są nam nieznani, obcy i dalecy.

Lecz choć na bratnie nie przyjadą zjazdy,
By spojrzeć w serce oczyma jasnymi,
Wiesz, że istnieją, jak dalekie gwiazdy,
Których blask jeszcze nie dotarł do ziemi.

ZŁOTA GOŚCINA

Jakże to miło dla serca człowieka
Przybyć w gościnę do takiego domu,
Gdzie nikt, przez otwór patrząc pokryjomu,
Po dzwonku twoim z otwarciem nie zwleka,
Ale gdzie wszystko na twe przyjście czeka.

Gdzie, ledwie dzwonek rozniesie się echem,
Zaraz rozlega się tupot nóg w sieni
I gospodarze biegną ucieszeni
Z tym hałaśliwym radosnym pośpiechem,
Ażeby drzwi ci otworzyć z uśmiechem.

Gdzie na rozmowę nikt z nas się nie sili,
Która tak ciężko w salonie się toczy,
Ale patrzymy w swoje jasne oczy
I poznajemy wzajem w jednej chwili,
Cośmy znów przeszli i cośmy przeżyli.

I gdzie, gdy przyjdzie chwila pożegnania,
I już za nami zatrzaśnięto bramy,
Jeszcze zza okna oświetlonej ramy
Cień gospodarzy dwojga się wyłania,
Śląc nam ostatnie gesty pożegnania.

POGODA

Rolnik na ustach ma przekleństwa słowo,
Gdy mu żar słońca posiew zbóż wysuszy,
Lecz ci, co dachu nie mają nad głową,
Długą pogodę błogosławią w duszy.

W czasach, gdy życia ludzkiego gehennę
Codzień mijamy bezsilni i niemi,
O jakże dobre jest niebo wiosenne
Dla wszystkich ludzi bezdomnych na ziemi.

Bo nad ich twarzą, szarą od zgryzoty,
Nad sercem, wszelkich pozbawionem danin,
Jakżeż cudowne rozpina namioty
Z najkolorowszych i najdroższych tkanin.

Perłowe rankiem, błękitne w południe,
Pod wieczór złotem przesiąknięte winem
A po zachodzie malowane cudnie
Różem, fioletem albo seledynem.

A nocą, aby niedolę ich bytu
Ukryć przed ludźmi szczęśliwych oczami,
Miękkki i czarny namiot z aksamitu,
Wyhaftowany złotemi gwiazdami.

STAW

Zadumał się staw wieczorem
I trzcin się skarży szelestem:
Hej! na tym świecie ogromnym
Ja jeden nie wiem, czym jestem.

Mam w sobie ziemię i niebo
I słońce złote i jasne,
A wszystko to jest nie moje,
A wszystko to nie jest własne.

Od drzew pożyczam zieleni,
Od nieba różu i złota.
Cudzemi żyję barwami,
Czemże jest moja istota?

A nawet gwiazdy srebrzyste
Co na dnie lśnią się w tej chwili,
Skradzione są nocy czarnej,
Która nademną się chyli.

Czyli istnieję sam w sobie,
Jak wszystko, co nie przemija,
Czy przez to jestem jedynie,
Co się w mej głębi odbija?

RÓŻANIEC ŻYCIA

Na szarym życia różańcu
Od każdej wiosny do zimy,
Wciąż dnie za dniami liczymy,
Póki nie skończy się łańcuch.

A dnie te jak krople wody
Takie do siebie podobne:
Te same uciechy drobne
I trosk te same powody.

W obawie, że w uczcie życia
Nie starczy dla nas pierogów,
Nie wystawiamy już rogów
Ze swej skorupy ukrycia.

Podobni nizinnej wodzie
Cicho, leniwie płyniemy
I nigdy już nie wyjdziemy
Naprzeciw pięknej przygodzie.

Przeto nam życie przemija
Jak rzecz na świecie niczyja,
Bez szczęścia, które upija,
Bez bólu, który zabija.

Na szarym życia różańcu,
Od każdej wiosny do zimy,
Wciąż dnie za dniami liczymy,
Póki nie skończy się łańcuch.

LEPSZE ŻYCIE

Są chwile, kiedy tak na świecie źle mi,
Tak trudno jest mi dzień do końca przebyć,
Tak niepotrzebny czuję się na ziemi,
Że chciałbym przepaść, przemiąć i nie być.

I gdy najbliżsi, po krótkiej żałobie,
O mem istnieniu na świecie zapomną,
Nie pozostawić ni znaku po sobie,
Jak kropla, rzęką wchłonięta ogromną.

A gdy się cały rozplnę w niebycie
I cieniem stanę się własnego cienia,
Może rozpocznę wtedy lepsze życie,
Jako maleńka cząstka wszechistnienia.

I istnieć będę w wieczorów zadumie,
W tęsknocie dali, w śpiącym wśród skał echu,
W graniu strumyka, w drzew wieczystym szumie
I w jesiennego dnia złotym uśmiechu.

SPOWIEDŹ

Jestem samotny i smutny ogromnie.
Cicho w pokoju... za oknem śnieg prószy —
O biała, dobra siostró mojej duszy
Gdzie jesteś? czemu nie przyjdiesz dziś do mnie?

W zapadającym zmierzchu tej godziny,
Która zna tylko przebaczeń uśmiechy,
Chciałbym ci wyznać wszystkie życia grzechy
I wszystkie dotąd niespłacone winy.

I tę najkrwawszą pokazać ci ranę
Mojego serca, broczącego w ranach
I twarz ukrywszy na twoich kolanach
Wyplakać wszystko, co niewyplakane.

I wiedzieć, że się pochylisz najczulej,
Przed samym sobą biorąc mię w obronę
I szepniesz: wszystko jest ci przebaczone,
Bo masz na czole napis: multa tuli!

JEDNO LUDZKIE SERCE

Sercem swem chciałbym ogrzać dzisiaj rymy,
Do czerwoności chciałbym je rozżarzyć,
Ażeby ciepłem tych wszystkich obdarzyć,
Którzy dziś cierpią od srogości zimy.

I tych, co w blasku zimnego księżyca
Śpią pod mostami tylu miast ogromnych —
I tych włóczęgów wieczyście bezdomnych,
Których na polu dopadła śnieżycą.

I tych chłopaków o nędznym wyglądzie,
Którzy na mrozie drepcą bez ustanku,
Przy tramwajowym czyhając przystanku,
Czy ktoś z bagażem ciężkim nie wysiądzie.

I te zmarznięte i obdarte dzieci,
Do szyb cukierni przyciśnięte twarzą,
Gdzie wśród karmelków gwiazdy lamp się żarzą
I gdzie na tortach djadem z lukru świeci.

Lecz na tej ziemi nędzy jest tak wiele,
Na którą głodny mróz jak psisko warczy,
Że jedno ciepłe serce nie wystarczy,
Choć je na cząstki najmniejsze rozdzielę.

LĘK PRZED ŚMIERCIĄ

Dlaczego jesteś od nas tak daleko,
W jakiejś tajemnej i głuchej krainie
I mlecznej drogi odgradzony rzeką,
Której myśl nawet ludzka nie przepłynię?

A dałeś duszom ludzkim tą tęsknotę,
Która za Tobą chciałaby iść wszędzie,
W zachody słońca purpurowo-złote
I poza świata ziemskiego krawędzie.

Lecz chociaż błędzisz, milczący i niemy,
Pośród wieczności tajemniczych polan,
Przez całe życie szukać Cię będziemy,
Aby przytulić się do Twoich kolan.

I ukryć w fałdach Twej złotej opończy
To najstraszniejsze w naszym ludzkim byciu:
Lęk przed godziną, kiedy się zakończy
To przeklinane a tak drogie życie.

TWARDE I MIĘKKIE

Twardą jest przemoc, twardą stal oręza,
Twardy jest granit i dąb starych lasów,
Lecz to, co miękkie, najczęściej zwycięża,
Jeżeli z twardem stanie do zapasów.

Najlepszy przykład daje nam przyroda:
Owad jest strasznym niszczycielem lasu,
A miękka, cicha, aksamitna woda
Wydrąży kamień na przestrzeni czasu.

Stuletnie bory wywraca wiatr halny,
Śnieg to ocala, co zabija zima,
A bakcyl gołym okiem niewidzialny,
Potrafi zwalić z nóg nawet olbrzyma.

I choć postawisz złego smoka w bramie,
By strzegł przemocy, którą masz za świętość,
To często serce człowieka przełamie
Najtwardszy upór, największą zawziętość.

MÓWIĆ CZY SŁUCHAĆ?...

Mówić czy słuchać jest tak samo pięknie,
Gdy w towarzystwie nie jesteś idjotów.
Nigdy się nudy i pustki nie zleknie,
Kto posiadał chociaż jeden z tych przymiotów.

{ Kto pięknie słucha, nigdy się nie nudzi —
Coś ciekawego z każdego wygrzebie.
Kto pięknie mówi, pośród wszelkich ludzi
Czuje się dobrze, bo słucha sam siebie.

Oba te dary w tem samym napięciu
Ma tylko mędrzec, więc wszystko rozumie.
Duch Święty zasnął przy tego poczęciu,
Kto ani mówić ni słuchać nie umie!

i }
v }
z }
Lecz najpiękniejszą jest mowa milczenia,
Przenikająca myśli tajnym słuchem,
Bo to jest środek do porozumienia
Dla zakochanych i najwyższych duchem.

SANNA

Przez las, srebrzystym otulony śniegiem,
Mkną nasze sanie leciutko i miękko
Ku owej stronie, gdzie nad lasu brzegiem
Prosto do nieba prowadzi okienko.

Jest biała cisza — tylko dzwonki dzwonią
I czasem z drzewa okiść śnieżna spadnie.
Nad twoich oczu pochylam się tonią,
Jakbym odgadnąć chciał, co leży na dnie.

Po brylantowej drodze płyną sanie
Prosto na okno wybite do nieba.
I nie wiem, czyli w nich wiozę kochanie,
Bo w takiej chwili nic wiedzieć nie trzeba.

Jeno tą białą ciszą się zachłysnąć,
Jeno zasłuchać się w dzwoneczków chrzęście,
Jeno bez słowa białą dłoń uścisnąć
I lecieć w szczęście...

DWOISTOŚĆ

Zawsze modliłem się o skarb prostoty
A żyją we mnie jakby dwie istoty.

Każda ma własne sprawy tajemnicze
I inną duszę i inne oblicze.

Jedna chce latać skrzydłami srebrnymi,
Druga mię ściąga brutalnie ku ziemi.

Jedna jak dziecko do ludzi się garnie,
Chcąc im osłodzić troski i męczarnie,

Druga mi refrain jeden podpowiada:
Jak pies tak włóczy się za nami zdrada!

I nigdy nie wiem, jeniec złego losu,
Która zwycięży i dojdzie do głosu.

Ach, gdyby można raz tej chwili dożyć:
Obie połówki w jedną całość złożyć,

Tą wieczną walkę w sobie udaremnić,
Ciemne rozjaśnić a jasne zaciemnić,

Nie kreślić znaków na płynącej wodzie,
Być z sobą samym raz w zupełnej zgodzie,

Dobić do brzegu odwiecznej tęsknoty
I stać się pełnią swej własnej istoty.

BEZSILNOŚĆ

Wiem, że są bolu tak wielkie otchłanie,
Do których nawet myślą trudno dotrzeć
I wiem, że czasem największe kochanie
Nawet łzy jednej nie potrafi otrzeć.

Czemże jest człowiek i jego potęga?
W ścisłych rachubach zawsze nieomylny
Swą myślą tajni wieczystych dosięga,
A przed cierpieniem ludzkim jest bezsilny.

Kolumny z głazu dźwiga nasze ramię,
Wznosimy gmachy ogromne ze stali,
A czasem jedna gorzka łza nas łamie
I tak jak skała na piersi się wali.

Ci nawet, którzy kawał życia uszli
I są już duchem za tą ziemską miedzą,
Wiedzą, że perła jest cierpieniem muszli,
Ale czym łza jest, nie wiedzą, nie wiedzą...

MUZYKA DRUKARNI

Lubię wieczorem znaleźć się w drukarni,
Gdy wszystkie kaszty pracują przy ścianach
A maszynkarze, muzykanci czarni,
Na swych stalowych klepią fortepianach.

Po klawiaturze biegają ich palce
W niepewnym lampy sufitowej blasku,
Lecz za ich scherza, etudy i walce
Nikt im nie daje kwiatów ni oklasku.

Sens ich muzyki temu niedostępny,
Kto w dziennikarstwie swoich zębów nie zje.
Inną rytmikę ma artykuł wstępny,
Inną kronika a inną poezje.

Wędrują czcionki jednostajnym ruchem
A czasem zatną się w zgrzytliwym chrzęście —
I wtedy łowię swoim czułem uchem
Mord, samobójstwo lub inne nieszczęście.

Znam już tak dobrze mych pianistów dotyk,
Że zawsze poznam przy każdym z osobna,
Który z nich składa wiosenny erotyk,
A komu dana kronika żałobna.

Czasem tu szczęście jasną twarz ukaże,
To znowu śmierć się wychyla z ukrycia —
Na swych klawiszach grają maszynkarze
Wielką symfonię współczesnego życia.

CHMURA

Po czystem niebie płynie biała chmura.
Skąd przyszła? dokąd podąży i poci?
Czy jakiś anioł zgubił srebrne pióra,
Kiedy nad ziemią przelatywał nocą?

Czy oderwała się od siostr swych stada,
Przecięta ostrzem skalistego szczytu
I teraz błądzi strwożona i blada
Po nieskończonych obszarach błękitu?

Czy niesie spokój w swej cichej podróży,
Którego pragną wszyscy już zmęczeni?
Czy jest zwiastunem jakiejś strasznej burzy,
Która nadciąga z dalekiej przestrzeni?

A może uśmiech to czyjego serca,
Rzucony w przestrzeń dla kogoś zdaleka,
Kogo tęsknota bezmierna uśmierca,
Bowiem na wieści już oddawna czeka?

Ale czy oczy podniesie ku górze?
Czy posłannictwo tej chmury zrozumie?
Dzieją się rzeczy cudowne w naturze,
Jeśli w jej księdze człowiek czytać umie.

DWIE JAZDY

Dawniej jeździłem w złocistej karocy,
Skrzydlate gryfy mając za rumaki
I drogą moją były gwiazdne szlaki
Pod płaszczem czarnej, niezbadanej nocy.

A przed karocą biegły me marzenia,
Jak śliczne laufry w kolorowych szatach
I drogę miałem usłaną na kwiatach
I bicz z błyskawic miałem i z płomienia.

Za biegiem marzeń mych wodząc oczyma,
Pędziłem naprzód, gdzie one mię wiodą —
Gdy całe życie jest cudną przygodą,
Żadna nas karczma dłużej nie zatrzyma.

Dzisiaj już jeżdżę w starym dylizansie,
Rumakiem moim jeden konik lichy,
Który ma koła trzeszczące i szprychy,
Utykający na każdym dystansie.

Gdy się odwrócę, staje w ciepłym słońcu
I skubie trawę, szczęśliwy z popasu,
Jakgdyby wiedział, że mamy dość czasu,
Że nas nie czeka nikt na drogi końcu.

Laufry — marzenia hen za siódmą rzeką,
Na drodze same mary i widziadła.
Na koźle wiedźma — troska się przysiadła
I pyta ciągle: czy jeszcze daleko?

GIPSOWA MASKA

W mojej pracowni mam nieliczne sprzęty
A ponad stołem, gdzie się rymy stwarza,
Jak biały uśmiech w gipsie zastygnięty
Maska kobiety — piękny dar rzeźbiarza.

Gdy cisza marzeń wokół się przyczaja,
Lubię spoglądać długo w jej oblicze,
Bo ma z obrazu coś z Doryana Graya
I z duszą moją związki tajemnicze.

Czasem przynosi dzień dobrą nadzieję
I wyczerpania nie odczuwam znamion —
Wówczas i maska ze ściany się śmieje
Jakby mówiła: Nie opuszczaj ramion!

Lecz gdy mię serce znużone zaboli
I pustka w duszy jest i na warsztacie,
W uśmiechu maski jest cień melancholji,
Jakby mówiła: Przemijamy bracie!

Lecz gdy mię skrzywdzi jakiś bliski człowiek
I serce moje wchodzi w chmurę ciemną,
Dwie szare bruzdy u jej białych powiek
Mówią, że długo płakała nademną.

WIOSENNY PORANEK

Otwieram okno... w duszę moją wsiąka
Niebo bez chmurki, jak niebieska łąka.
W nieskazitelnej, przeczystej przezroczy
Błądzą me oczy.

Lazur niebiosów, słońce i pogoda
Śmieją się do mnie jak dziewczyna młoda,
A więc się staję cały własnem echem:
Cichym uśmiechem.

I uśmiechnięci tak trwamy oboje:
Przejasna nieba toń i serce moje.
W niebieskiem morzu zatacza swe kółka
Czarna jaskółka.

Jest taka cisza wśród niebios jasności,
Że doleciałby do mnie głos z wieczności,
Tylko przybliżyć rękami drżącemi
Niebo do ziemi.

Chmurka zawisa nad wieżą kościoła
Jak zagubione skrzydło archanioła,
I wsiąka w błękit jak marzenie samo
Srebrzystą plamą.

Wszystko jest piękne: modra dal bez końca,
Ciche me serce, złoty potop słońca
I te jaskółki tańczące w błękicie...
O życie, życie!!

PIERWSZY ŚNIEG

Pierwszy śnieg prószy
Srebrzyście, cichutko...
Tonę w tym chrzeście,
Słucham co mi gada.
Jest tak jak szczęście
Ludzkiej duszy:
Trwa krótko,
Taje, przemija, przepada...

Pierwszy śnieg sypie...
Rozwija białe kobierce
Przez szarych pól tęsknotę,
Przez nieskończoność dali —
I moje biedne serce,
Które na szczęścia stypie
Cichą nocą się żali,
Otula w zimną pieszczotę.

Pierwszy śnieg tańczy...
Zasypał od brzegu do brzegu
Wierzby sterczące jak pięście
Z pod śniegu całunnej szaty.
W wichrze ,co dmie opętańczy,
Idzie ma dusza po śniegu,
Szukając tej jednej chaty,
Gdzie znów uśmiechnie się szczęście.

NASTRÓJ JESIENNY

Uśmiechu szukam daremnie,
Gdy w duszy tyle mam cieni,
Gdy jesień dzisiaj jest we mnie,
A ja w jesieni.

Liści jesiennych muzyka
W żółtym, więdnącym ogródku
Do mojej duszy przenika
Akordem smutku.

Srebrnym szelestem się wwierca,
Szklanym poszumem szumiąca —
W ogrodach mojego serca
Wspomnienia trąca.

Tyle ich było tyle,
A dzisiaj pytam: gdzie one?
Cichutko leżą w mogile,
Wiatrem strącone.

Spadają płatki zwiędłymi
Zdarte z liściastej oponczy
I mówią, że na tej ziemi
Wszystko się kończy.

WIZYTA

Marzy mi się czasem w snach
Stary dwór, widziany gdzieś...
Ja — gospodarz stoję w drzwiach —
W śniegach śpi przedemną wieś.

A przez wieś się droga skrzy,
Niby brylantowy pas,
Aż tam gdzie z miesięcznej mgły
Czarny się wylania las.

Stoję i wytężam słuch...
Cisza — usnął wiatru wiew.
Nagle w lesie jakiś ruch
Pośród ośnieżonych drzew.

Nagle lasem wstrząsnął dreszcz,
Jakiś dźwięk w gałęzie wpadł
I na ziemię spływa dreszcz,
Sypie się śniegowy kwiat.

I wylania czarny bór
Słodką tajemnicę swą:
Białą drogą, wprost na dwór,
Rozdzwonione sanki mkną.

Cała ziemia dzwoni w krąg,
Szczęście srebrnych dzwonków gra —
Już wyciągam dwoje rąk
Do tej, która przybyć ma.

Lecz wytężam próżno wzrok
Poprzez białej drogi łuk —
Sanki już skręciły w bok
Koleiną polnych dróg.

Próżno duszę ślę na łów,
Zcichły dzwonki — usnął bór.
Ominęło szczęście znów
Mój samotny cichy dwór.

UŚMIECH

Dusza człowieka to lampa z kryształu,
Dana każdemu z nas w chwili urodzin,
Której knot spala się bardzo pomału,
Bo jest miernikiem wszystkich życia godzin.

W młodości światło jej jasno się pali
I tylko radość z siebie wypromienia,
Ale im później i im w lata dalej
Traci na blasku i sile płomienia.

Najczęściej życie lampę tak zaproszy,
Tak się smutkami jej ściany okadzą,
Że tli i kopci lampa naszej duszy
I blask jej ledwie widoczny pod sadzą.

Czasami tylko nagle się rozżarzy,
Jakby pod wiatru wiejącym oddechem
I wtedy światło jej błysnie na twarzy,
A owe światło zowie się uśmiechem.

A jeśli w chwili natchnienia najrzadszej,
Ścigając sztuki swojej cel daleki,
Rzeźbiarz to światło wewnętrzne podpatrzy,
Powstaje dzieło, które przetrwa wieki.

CZEM SĄ TE WIERSZE?

Czem są te wiersze, które piszę co dzień?
Efemerydy — jednodniowe jętki.
Nurt życia dzisiaj jest zanadto prędko.
Są i znikają z oczu jak przechodzień.

Czasem gdzieś komuś głębiej w duszę wpadną
W chwili dla duszy ważnej i jedynej.
Są niby uśmiech nieznaney dziewczyny,
Która nam w tłumie błysnie twarzą ładną.

Są tak jak dzieci małe bez opieki,
Nikt nie dba o te kwiaty mych uniesień —
Są tak jak liście, które pędzi jesień
W świat zapomnienia obcy i daleki.

Rozbiłem brylant mojego talentu
Na drobne pyłki i królewskim gestem
Rzucam je w serca, bo rozrzutny jestem
I dla bogactwa niemam sentymentu.

Kiedy odejdę już na tamtą stronę,
Może pozbiera je ktoś sprawiedliwy
I błysną świetnie jak klejnot prawdziwy,
Nareszcie w jednej książce połączone.

PERŁA NOCY

Noc... wszystko życie utonęło w morzu,
Zalane jego falami czarnemi,
Tylko ty jedna zostałeś na ziemi,
Gdzieś tam daleko śpiąca na swem łożu.

Dla mej tęsknoty w jej zdumieniu wiecznem,
Dla myśli, która dalej nie wylata,
Ty jesteś punktem centralnym wszechświata,
Czemś najważniejszym i czemś ostatecznem.

Bo w tej topieli, która świat zalała,
Bo w onej pustce, która kresu niema,
Widzę jedynie mej duszy oczyma
Biały cud twego uśpionego ciała.

I w mroku groźnym i pełnym złych mocy,
Skąd wszyscy żywi do wieczności uszli,
Jesteś jak perła biała na dnie muszli,
Zamknięta czarną małżowiną nocy.

TOR KOLEJOWY

Lubię te ciche, pełne kwiatów rowy
Przy torze, zdala od podmiejskich gmin,
Który przecina las na dwie połowy
Lśniącemi w słońcu nożycami szyn.

Znużony długą wędrówką po lesie,
Na traw posłaniu kładę się na wznak
I łódka marzeń łagodnie mię niesie
Przez ten błękitny ponad głową szlak.

Nad torem przestrzeń cała drży od żaru
I błyszczą szyny od słonecznych lśnień,
Lecz tutaj, na dno pachnącego jaru
Od ściany lasu pada chłodny cień.

Czasem przeleci pociąg trasą toru,
Mając na chwilę ciszę hukiem swym
I jeszcze długo nad wierzchołkiem boru
Wlecze się siny i zwelniony dym.

A potem znowu milczenie zapada,
Tylko dziecioty kują w dali gdzieś,
Jakgdyby drwali robocza gromada
Świeżą dachówką pobijała wieś.

A ja się cieszę, żem życie oszukał,
Kradnąc dla siebie te godziny dwie,
Bo choćby nawet cały świat mię szukał,
W tym cichym rowie nikt nie znajdzie mnie.

BIAŁY DOMEK

(Obrazek z powodzi w Szczawnicy)

U szmaragdowych wrót Szczawnickich Pienin
Na wyspie pełnej wrzosów i poziomek,
Wśród klombów kwiatnych świecił Biały Domek
Zdaleka widną plamą wśród zieleni.

I przyszła powódź — Dunajec wciąż wzbierał,
Niosąc w odmętach swej huczącej wody
Zwalone drzewa i potężne kłody,
Lecz Biały Domek jeszcze się opierał.

I choć do okien doszedł zasiąg fali
I znikła wyspa, zalana po wierzchu,
W szarym, deszczowym i ponurym zmierzchu
Plamą ścian białych jeszcze widniał w dali.

I nagle, jakby nie mogąc ominąć
Złej doli, czujność i swój opór przerwał
I od swej wyspy z trzaskiem się oderwał
I po wzburzonej rzece zaczął płynąć.

I pędził z falą w noc, co w deszczach moknie,
Jak okręt-widmo, tragiczny, straszliwy,
Dawno umarły a jeszcze wciąż żywy
Przez światło lampy, jaśniejące w oknie.

Prądy Dunajca chwyciły go w kleszcze,
Więc środkiem rzeki tak jak strzała przegnał,
A kto go ujrzał, z lękiem się przeżegnał
Na myśl, że wewnątrz ktoś pozostał jeszcze.

I minął zakręt rzeki niebezpieczny,
Lecz zaraz spotkał mostu twarde przęsła —
Huk! wielki Boże! ziemia się zatrzęsła.
Umarłym ludziom odpoczynek wieczny...

NATURA CZŁOWIEKA

Czasem, gdy niebo połączy się z ziemią
Strunami deszczu, co pluszcze bez przerwy
I w mgłę wilgotnej kamienice drzemią,
Słota rozstraja wszystkie nasze nerwy.

I choćby szczęście pukło we wrota
Nie wychodzimy mu na przywitanie,
Bo nas oprzędły smutek i zgryzota,
Jak sieć pająka śpiącego na ścianie.

Ale niech tylko jeden promień słońca
Rzuci swą strzałę na parkietu deski,
Dusza wychodzi z szarzyzny bez końca
Na świat nadziei jasny i niebieski.

I zapomina o smutku i męce,
Które w pobliżu czają się zdradziecko
I znów do szczęścia wyciąga swe ręce,
Jak do zabawki pięknej małe dziecko.

ONA

Gdy rzeczywistość w spraw codziennych gwałcie
Rozprzęga nerwy i duszę mą nęka,
Lubię twarz ukryć w twym przytulnym kształcie,
Bo jesteś dobra i biała i miękka.

Życie jest twarde i zimne jak brzeszczot,
Wiecznie na sercu czuję jego dotyk —
Ty jesteś cała stworzona do pieszczot
I taka ciepła jak zaspany kotek.

Wiesz o czym marzę i wiesz o czym myślę.
Słyszysz jak tętni krwi gorącej strumień,
Gdy się tulimy tak do siebie ściśle,
Nie znamy waśni i nieporozumień.

W każdym twym ruchu i w każdym ugięciu
Jest ta uległość, co wszystko pozwala —
I przez noc całą leżymy w objęciu
I tkliwość nasza nigdy się nie spala.

A kiedy skrzywdzi mię życie sobacze,
Gdy dusza w smutku beznadziejnym tonie,
Ty tylko jedna widzisz jak ja płaczę,
Gdy twarz ukryję na twem miękkim łonie,

Widzę jak wiersz ten niejedna dziewczuszka
Z zakłopotaną odczytuje minką.
Ta pani biała — to moja poduszka —
Kto co innego myślał, ten jest świnką!

POCIECHA

Wszystko mój bracie czytam z twoich ocz.
Wiem, co twój spokój niszczy i uśmierca,
Bowiem już dawno odnalazłem klucz
Do twego serca.

Patrzę na ciebie i wiem nie od dziś,
Żeś jakąś krzywdę w duszy wyolbrzymił
I żeś tą krzywdą i serce i myśl
Do dna zadymił.

Wiem, że potrzeba kilka dobrych słów,
A z smugi cienia znów cię wyprowadzę
I z zadymionych okien duszy znów
Obetrę sadzę.

I będziesz dziwił się jak blahe jest
To, co dla ciebie miało tyle treści,
Jak niepotrzebnym był tragiczny gest
I zgrzyt boleści.

Jak łatwo odpadł z piersi twojej głaz,
Jak świat cię cieszy, gdyś już był za światem —
Człowiek zapędza się sam w cierpień las
I jest swym katem.

HANDLARZ BALONÓW

Znużony słońcem i ogrodu ciszą
Handlarz balonów zdrzemnął się na ławce.
Związane sznurkiem gumowe latawce
Nad jego głową lekko się kołyszą.

W gromadce dzieci, bawiącej się obok,
Zawrzała jakaś tajemna narada
I nagle mały wisus się podkrada
Na przełaj poprzez murawy czworobok.

Zrazu przyczał się wśród bzu gałęzi,
Potem przez trawę przepłynął jak nurek
I jednym cięciem noża przeciął sznurek,
Który balony trzymał na uwięzi.

I wzłata w górę pęk balonów zbity
Nad drzew wierzchołki, nad dachy kamienic,
Ścigany szczęściem stu dziecięcych źrenic
Maleje, niknie i wsiąka w błękity.

Zbudził się handlarz — nic nie rzekł nikomu,
Spojrzał na mienie, niknące w przeźroczu,
Otarł ukradkiem łzę płynącą z oczu
I ciężkim krokiem powlókł się do domu.

Może zrozumiał dziwne życia prawo,
Któremu serce musi czynić zadość,
Że to, co sprawia komuś śliczną radość,
Ktoś drugi zawsze okupuje krwawo.

MOJE „CONFITEOR“

Chwała miłości, co niebo przechyla
Do ust, na których boska żądza gra.
Lepsza za życia jedna szczęścia chwila,
Niżli po śmierci pomnik, laur i msza.

Chwała dobroci, której czyny liczą
Srebrne anioły, stróże ludzkich ksiąg,
A choć ci za nią odpłacą goryczą,
Rozszerza duszy nieśmiertelny krąg.

Chwała przyjaźni, co smutek uśmierca,
Który tak często krew nam ciągnie z żył —
Zawsze topiłem duży kawał serca
Na dnie kielicha, gdym z druhami pił.

Chwała wszystkiemu, co nas w życiu boli:
Srebrzysta perła powstaje przez ból.
I chwała wszystkim ludziom dobrej woli
Z miast zadymionych i przeźroczych pól.

I chwała sztuce, póki życia starczy
I póki bije w nas natchnienia zdrój —
Tak jak Spartanie z tarczą lub na tarczy
Wrócimy do niej, gdy się skończy bój.

Każdy kto smutny, każdy kto w rozterce
Niech dzisiaj jaśniej popatrzy na świat.
Jak kielich niosłem przez życie swe serce,
A kto pił z niego, temu byłem rad.

LUBIĘ WIECZORNEJ GODZINY SAMOTNOŚĆ

Lubię wieczornej godziny samotność,
Gdy melancholja, moja wierna służka,
Usiada cicho na krawędzi łóżka
A pająk snuje godzin bezpowrotność.

Lubię zarzucać niewód mej tęsknoty
W głębinę dawno nie ruszanych wspomnień,
A potem cudnym darem wyogromnień
Przeżywać w duszy dzień młodości złoty.

Lubię to wszystkich przedmiotów milczenie,
Po całodziennym utrudzonym znoju,
Kiedy po ścianach mojego pokoju
Spływają szare nieuchwytne cienie.

Lubię, gdy budzik, dawno w poniewierce,
Zazgrzyta kółkiem zardzewiałem w ciszy,
A nikt z najbliższych oprócz mnie nie słyszy,
Że głośniejszy zgrzyta moje chore serce.

Lubię wsłuchiwać się w głosy wśród mroczy,
Ale najśłodsza jest dla mnie ta chwila,
Gdy się noc czarna nademną pochyła
I dobrą ręką zamyka mi oczy.

PRZEMYŚLANIA

Wszystko, co łączy się z osobą twoją,
Posiada dla mnie swoją własną treść
I jakieś dziwy duszy mej się roją,
I ciągle nowa spada na mnie wieść.

Czego się dotkniesz aksamitem dłoni,
To, na co padnie oczu twoich blask,
Nabiera dla mnie specjalnej harmonji,
Do serca mego zakrada się łask.

Gdy z kimś rozmawiasz, to głos twój mi śpiewa,
Jako skowronki nad bezmiarem łąk.
Nawet powietrze, które cię owiewa,
Wchodzi w mistyczny uczuć moich krąg.

Krzesło, na którym siedzisz zamyślona,
Najmniejszy szczegół twych codziennych szat,
To nie przedmioty dla mnie, lecz znamiona,
Które prowadzą mię w odmienny świat.

Więc tak jak pszczoła, wisząca nad listkiem,
Piję wciąż wzruszeń przenajśłodszy miód —
Wszystko jest tobą i ty jesteś wszystkim,
A poza tobą pustka, noc i głód.

TROCHĘ UŚMIECHU

Trochę uśmiechu jest dziś w mojej duszy
I tym uśmiechem chciałbym się podzielić.
Jakiś dźwięk czysty wpadł do serca głuszy
I dźwięk ten chciałbym swem sercem powielić.

Od rana wziąłem to wszystko na własność
Co mówi do nas mową tajnych znaków:
Słońce na szybach, niebios dziwną jasność
I pod oknami wesoly śpiew ptaków.

Spłynęło na mnie coś z rannych obłoków
I coś z tających w mym ogrodzie śniegów.
I drzewa rzekły mi krążeniem soków,
Że zima wkrótce odpłynie od brzegów.

Przeto wsadziłem do jej białej łódki
Wszystko co męczy i wszystko co boli:
Troski, zmartwienia, zgryzoty i smutki
I blade dzieci mojej melancholji.

I brzydkie karły tych nieporozumień,
Których obecność chwilę szczęścia ziębi.
Niech kram ten cały porwie rączy strumień
I niech zatopi go w najgłębszej głębi.

A gdy przypadnie wszystko co uśmierca,
Pojmiemy droga, jak piękne jest życie
I znów spotkają się nasze dwa serca,
Jak dwie jaskółki w przeczystym błękiecie.

WIERSZYK W DZIENNIKU

Jeśli w rytm życia, którym dziennik tętni,
Łowiąc to wszystko, co zaszło na świecie,
Maleńki wierszyk strofę swoją wplecie,
 Bądźmy mu chętni.

Jest tak jak dziecko w czarnych kolumn lesie,
Niejedną brzydką skrywającym sprawkę,
Które w swych piąstkach zaciśniętych niesie
 Piękną zabawkę.

Wicher rozstrzaskał sterowiec-olbrzyma,
Ostrzą swe noże zbóje i morderce,
A wierszyk do nas cicho się uśmiecha,
 Patrzy nam w serce.

Płonie wśród nocy od pożaru strzecha,
Waśń się rozjadła i trzaska swym biczem,
A wierszyk do nas cicho się uśmiecha
 Nie wie o niczem.

W szarym, nużącym codzienności zgiełku
Zadzwoni czasem tak jak trel słowika,
Jest tak jak złoty promień słońca w szkiełku:
 Błyśnie i znika.

Czasem usiądzie na księżycu sierpie,
Trochę pozłótki aniołom wyłudzi
I pełną dłonią gwiazd szczęśliwość czerpie
Dla smutnych ludzi.

Więc kiedy dusza twa walką stargana
I oczy drogi wypatruje końca,
Weź czytelniku czasem na kolana
To dziecko słońca.

IDĘ PRZY TOBIE...

Idę przy tobie w milczeniu
Nieskończonymi polami...
Nareszcie wyszliśmy z cienia,
Słoneczna droga przed nami.

To jedno odczuwam żywo,
Że tu jest smutków zatrata —
Idziemy w jasność szczęśliwą!
A może na koniec świata.

Nad głową obłoki srebrne,
Jakgdyby w modlitwie niemej...
Dziś słowo jest niepotrzebne,
Bo wszystko o sobie wiemy.

Dziś wyznań nam nie potrzeba,
Bo chwila jest tak szczęśliwa,
Bo z ziemi, z powietrza, z nieba
Beztraska nam w dusze spływa.

Idziemy w przestwór daleki
W ulewie złotego słońca.
Me oczy mówią: Na wieki!
Twe oczy mówią: Bez końca!

RUINA

Błyszczał i szumiał, jak na wiosnę rzeka,
Urodę życia pił ze złotej czary,
A dziś została ruina człowieka,
Echo, wspomnienie, cień smutny i szary.

Ten druh niedawny druhem ci nie będzie,
Bo w sercu jego płonie żałość dzika,
Co poza sobą poszukuje wszędzie
Sprawcę swej doli i nieszczęść współnika.

I choć nie grałeś w tym upadku roli,
Ciężą na tobie niespłacone spłaty
I na twą duszę pada mimowoli
Cień tej bolesnej, życiowej zatury.

Cóż, że w rozmowie, co się błaho toczy,
Nie brak mi serca gorętszych uderzeń —
Czule ze sobą mówią tylko oczy,
Bo wiem już wszystko i nie trzeba zwierzeń.

Wiem, że już jesteś swoim własnym cieniem,
Który z rozpaczą pyta się: co dalej?
Wiem, że jedynem dla cię wybawieniem
Byłaby kulka toczona ze stali.

Wiem, że cię troska ściga jak pies gończy,
Że wszystkie żary duszy czas spopielił —
Dlaczego człowiek tak smutno się kończy,
Jeśli swych skarbów mądrze nie rozdzielił?

SPOTKANIE

Codzienny ulic tych samych przechodzień
Spotykam czasem na środku swej drogi
Twarz zapomnianą i wnet moje nogi
Drętwieją, jakbym był schwytyany zbrodzień.

Ktogoś, kto niegdyś sercu był tak bliski
A dziś przez popiół przysypany szary —
Gdzież się podziały te miłosne czary?
Te pocałunki nasze i uściski?

Gdzież się podziały w bajkowym ogrodzie
Te kwiaty żądz, palące, najkrwawsze,
I te przysięgi „wiecznie“ i „na zawsze“,
Które spłynęły jak liście po wodzie?

Ten chód powolny, ten wygląd żaloszny,
Tych dwoje zgasłych i wyblakłych oczu,
Te srebrne nitki świecące w warkoczu —
O pługu życia! Jakżeś bezlitosny!!

I jakby w serce trzasnął mnie ktoś biczem
Pędzę przed siebie daleko, daleko —
Przeszłość jak trumna otworzyła wieko
I bladej mary płoszy mię obliczem.

ZBRODNIĘ LETNIEGO WIECZORU

Gdy zaróżowi się niebo zachodnie
I cały ogród cichy jest ogromnie,
Spostrzegam nieraz, że blisko koło mnie
Straszne w tej ciszy spełniają się zbrodnie.

W górze, skąd patrzą się oczy aniołów,
Wśród drzew ogrodu i przy ziemi nisko
Trwa jeszcze ciągle wielkie żerowisko,
Walka, zatrata, żywych istot połów.

I choć z cudnego w barwach nieboskłonu
Jakowaś dobroć wieczorowa spływa,
W moim ogrodzie trwa kośba straszliwa
I nikt drugiemu nie daje pardonu.

Na ciałach muszek żerują pająki
W oczkach swych sieci — lot czarnej jaskółki
W cichem powietrzu, jest grobem dla pszczołki,
Która spóźniona wraca z wonnej łąki.

Ropucha z wiecznie otworzoną paszczą,
Z rojem komarów ma sprawki nieczyste,
Mrówki zagryzły pełzającą glistę
I do mrowiska mozolnie ją taszcza.

Jastrząb kołuje nad stadem gołębi,
Na ćmę nietoperz bezszelestny chyha —
Chwila wieczoru jest dobra i cicha,
A tyle zbrodni kryje w swojej głębi.

DZIECI W OGRODZIE

Lubię w ogrodzie znaleźć się w tej porze,
Kiedy najsilniej złote słońce świeci
I z ławki patrzeć na zabawy dzieci,
Od których wzrok się oderwać nie może.

Tyle radości jest wkoło i blasku,
Że pod mych marzeń przedziwem pajęczem
Biegam wraz z dziećmi za szczęścia obręczem
I przesypuję deszcz srebrnego piasku,

Albo nachylam się z emocji błady
Nad studnią pełną małych okręcików
I ślę wraz z dziećmi wśród wojennych krzyków
Niewzyciężone z papieru armady.

Czasami znowu wzrok mój się zatrzyma
Na wózku, w którym śpi różowa małość:
Jest w tym obrazie taka doskonałość,
Że długą chwilę piję go oczyma.

Bo czyż zdołają malarze najszczersi
Odtworzyć pędzlem choćby sztuki księcia
Ten czar uśmiechu śpiącego dziecięcia,
Które na słońcu śni o białej piersi.

AKORD

Wiesz wszystko o mnie, więc cóż mnie obroni
Gdym jest bezbronny wobec twoich oczu?
Ty duszę moją widzisz jak w przeźroczu,
Ty serce moje trzymasz jak na dłoni.
Choćbym chciał ukryć się w tajemnic toni
Wiesz wszystko o mnie, więc cóż mię obroni,
Gdym jest bezbronny wobec twoich oczu?

Pod twoim znakiem dzień mi się zaczyna,
Zaspiał z wizją twoją pod powieką.
Czy jesteś przy mnie, czy jesteś daleko,
Pod twoją wolą gnę się tak jak trzcina.
Twoją jest każda żywota godzina,
Pod twoim znakiem dzień mi się zaczyna,
Zaspiał z wizją twoją pod powieką.

PIĘKNA STAROŚĆ

Wszystkim jednak czas krzyżyki znaczy
Po lat dziesiątkach w kalendarzu życia,
Ale starzeje się każdy inaczej,
Pomimo drogi tej samej przebycia.

Jeden jest duchem swoim wiecznie żywy,
Choć ciało wkrótce obróci się w próchno,
Drugi dogasa jak knot bez oliwy,
Czekając, by go ktoś z litości zdmuchnął.

Są ludzie taką obdarzeni łaską,
Że się starzeją pięknie i powoli
I jakby w srebrnej chodzą aureoli,
Podobni zesłłym ze swych ram obrazkom.

Ich uśmiech ma coś ze słońca zachodu,
Gdy rzuca złoto drzew najwyższych listkom
I są piękniejsi jeszcze niż za młodu
Tem co rozumie i przebacza wszystko.

O taką starość proszę zawsze Boga,
Taka w mej duszy zawsze zazdrość budzi —
I wiem, że jedna wiedzie do niej droga:
Przez całe życie dobrym być dla ludzi.

ZWYCIĘŻAJĄCE ŻYCIE

Siłą ciężkości przykuci do ziemi,
Od której nic nas nie może oderwać,
Napróżno chcemy tą niewolę przerwać,
Ustanowioną prawami wiecznemi.

Trwamy od wschodu życia do zachodu
Na małym skrawku czasu i przestrzeni,
Na pokarm matki-ziemi przeznaczeni,
Biedne ofiary jej wiecznego głodu.

A jednak chociaż ta nasza planeta
Jak cmentarzysko w przestrzeniach się toczy,
Do życia śmieją się wciąż nasze oczy,
Swą tajną głębią nie ciągnie nas Leta.

Jak las nie ginie w liści zwiędłych chrzeście,
Jak, choć wciąż płynie, nie kończy się rzeka,
Tak nieśmiertelne są oczy człowieka,
Wypatrujące swoje własne szczęście.

WIZYTY

Puszczając z dymów papierosa kółka,
Czekam co wleci w mojej duszy wrota,
Czy ptak radości z piórkami ze złota,
Czy smutku czarna, żałobna jaskółka.

Smutek i radość wąska dzieli miedza
I wszystko wpływa na jakość nastroju:
Pogoda, pióro, powietrze w pokoju,
Ale najbardziej to, kto mię odwiedza.

Bo człowiek w sobie ma fluid tajemny,
Który wszystkiemu wokół się udziela.
Jeden jest jasny jak uśmiech wesela,
A drugi jako noc bezsenna ciemny.

Gdy grafomanka starsza przerwie ciszę,
Czytając wiersze swoje dla pokuty,
Staję się smutny i dzień mam popsuty
I coś o śmierci napewno napiszę.

Lecz gdy odwiedzi mię w szczęśliwy ranek
Młodość z jasnemi jak niebo oczyma,
We wierszu moim jest cudowna zima:
Sanna i panna i dzwonienie sanek.

SPACER PO LESIE

Zrębem wśródleśnym, pełnym złotych cieni,
Który na blade niebo ma swe wyjście,
Gdzie tak jak rzeka płyną zwiędłe liście,
W słońcu jesiennym, błyszczącym złociście,
Idziemy cicho do siebie wtuleni
Zrębem wśródleśnym, pełnym złotych cieni.

Mijamy w drodze żłoby dla jeleni,
Przygotowane już na zimy przyjście.
Twarz nam muskają zwieszające kiście
Sosen i jodeł zielonych wieczyście.
Milcząc, w swych własnych myślach zatopieni,
Mijamy w drodze żłoby dla jeleni.

I w duszach naszych jest smutek jesieni —
I słowa zawsze dzwoniące srebrzyście,
Zanim przez usta nasze znajdą wyjście,
Spadają w serce tak jak zwiędłe liście.
Idziemy cisi, niemi, zamyśleni
I w duszach naszych jest smutek jesieni.

Na drodze naszej staje tyle cieni.
Wiemy, że będą z nami iść wieczyście
Jesienią życia, poprzez zwiędłe liście.
Więc choć las cały pali się złociście,
Patrzymy w przyszłość naszą przerażeni:
Na drodze naszej staje tyle cieni.

POŚLANIE

Tym wszystkim, których wyrzuciła fala
Na brzeg choroby jałowy i pusty,
Którzy w tej chwili od domów swych zdala
Piją lekarstwo spalonemi usty.

Tym, którzy patrzą w drzwi szpitalnej celi,
Drogiej osoby wyczekując wejścia,
Która za chwilę duszę rozanieli,
Zanim zadzwoni klucznik do odejścia.

Tym, którym kredą na tablicy kreślą
Do gór podobne gorączki pomiary
I którzy z własną pozostali myślą,
Jakby zamknięci w pajęczynie szarej.

Tym, których oczy dobry sen nie klei
I noc się wlecze długo i bez końca,
Posyłam dzisiaj jaskólkę nadziei,
Posyłam dzisiaj złoty promień słońca.

CIĄGLE ZA TOBĄ ODWRACAM SWĄ GŁOWĘ

Ciągle za tobą odwracam swą głowę,
Tak jak za słońcem złocisty słonecznik,
Lecz tajemnicza jesteś jak matecznik,
Lecz zawsze głucha na serca rozmowę.

Więdnę, usycham tak jak kwiat bez cienia
W żarze niespełnień i nieporozumień,
Ale ożywczy twego serca strumień
Nigdy nie zgasi mojego pragnienia.

Ciągle ta twarda, nieprzebyta ściana,
Która zasłania uczucia firmament.
Każde me słowo, choć czystsze niż djament,
Pęka w twem ręku jak bańka mydlana.

Tak wiele nigdy nie dałem nikomu,
A twoje serce wciąż się ze mną żegna:
Nie wraca szczęście, gdy się je odegna
Tak jak żebraka od drzwi swego domu.

MOWA RĄK

Wraz z tobą czemuż odeszły odemnie
Twoich rąk białe i ciche lilije,
Przez których ciepło czułem potajemnie,
Że twoje serce tylko dla mnie bije?

Gdy przy spotkaniu spoczęły w mej dłoni
Ufne, radosne i oddaniem ciche,
Świat dookoła był pełen harmonji,
Jakby ucichło to co złe i liche.

Nieraz mówiły mi te mądre ręce,
Że nigdy szczęścia nie doznamy pełni,
Że się spalamy jeno w cichej męce
Tęsknoty, która nigdy się nie spełni.

Że choć jesteśmy jako światel dwoje,
Które ku sobie lecą z mrocznej dali,
Życie rzuciło między nas oboje
Potężne mury, których nic nie zwali.

A gdy te ręce, których ciepło pieści,
W chwili żegnania dotknęły mię skrycie,
Były tak zimne, zwiędłe i bez treści,
Jak kwiat, z którego uleciało życie.

ŻNIWA

Tam dzisiaj pójdę, gdzie me myśli gonią
I gdzie mą duszę muzyka przyzywa
Srebrzystych sierpów, które w zbożu dzwonią
Na święto żniwa.

Ogarnę wzrokiem krajobraz mi znany:
Wsie, białe dworki, lasów ciemne liście,
Wśród których wszędzie srebrzyście, złociście
Falują łany.

Zagładnę w każdą oborę i studnię,
W sady, gdzie dzikie krzewią się badyle —
Nad pracą żeńców duszą się pochylę
W złote południe.

U przydrożnego zatrzymam się krzyża,
Lub przy bławatkach ponad żytnią miedzą,
Które się śmieją do słońca nie wiedząc,
Że śmierć się zbliża.

A potem z boku gdzieś na cichej łące
Ułożę głowę swą w pachnącej trawie
I owe sierpy błyszczące, dzwoniące
Pobłogosławię.

OCZEKIWANIE

Palę, puszczając dymu sine kółka
I czekam, kiedy przez okno otwarte
Przyleci pomysł jak czarna jaskółka,
Pstrząc mi rymami białą jeszcze kartę.

Trzymam ołówek i czekam daremnie.
Wszystko dokoła jeszcze jest milczeniem —
Zawsze pozamną jest a nie jest we mnie
To, co w poezji zowie się natchnieniem.

I nagle zbliża się twórczości chwila
Zapowiedziana seismografem duszy:
Coś tajemnego płatki swe rozchyła,
Coś się wyłania dla mnie cicho z głuszy.

Coś, co jest rytmem muzycznym z początku,
Barwą, olśnieniem, echem, smugą dymu,
Lecz wnet nabiera linji, treści wątku
I przyobleka się w sukienkę rymu.

Już szłyszę tętent rozpędzonych słówek,
Jeden rym zaraz drugi rym przynęca,
Zwrotka owija się o mój ołówek
I już się sama z ołówka rozkręca.

OKNA KAMIENIC

Są pewne znaki w życia tego mroczy,
Z których poznajesz, co się wewnątrz klębi:
Okna kamienic to są mieszkań oczy,
Mówią nam o tem, co się dzieje w głębi.

Czasem te okna są szare, bez blasku,
Jakby ich słońca nie tknęła promienność:
To są mieszkania tych, co jak w potrzasku
Żyją i wloką swoich trosk codzienność.

Czasem te okna aż czarne rozpaczą,
Jakby noc stale do ich szyb przywarła:
To są mieszkania tych, co wiecznie płaczą,
Bo ich nadzieja oddawna umarła.

Są okna storą przesłonięte skrycie,
Która wygląda jak bielmo na oku,
Bowiem za niemi mieszka puste życie,
Co dnia jasnego wstydzi się widoku.

Są wreszcie okna, niestety nieliczne,
Które się śmieją szybami jasnemi,
Bowiem za niemi mieszka szczęście śliczne,
Które tak rzadkie jest na naszej ziemi.

MYŚLI

W sferze uludy żyje Sapiens Homo,
Choć o zgłębieniu spraw wszechświata gada.
Ziemia wydaje nam się nieruchomą,
Chociaż się kręci i wciąż w przepaść spada.

Gdzie myśl podąży, wszędzie te rozstaje
I niewiadomo przed podróży końcem,
Czy wszystko tem jest, czem się nam wydaje,
Czy też naprawdę bytuje pod słońcem?

Zaledwie zachwiał prawdą wszystkich zadań
Einstein, znalazłszy błąd w nieskończoności,
A już dowodzi wynik świeżych badań,
Że też jest względną teoria względności.

Serce jest czasu miernikiem dla ziemian
Między powstaniem a grobu ciemnością,
W łańcuchu jednak nieskończonych przemian
Wieczność jest chwilą, chwila jest wiecznością.

Czyśmy powstałi z materji martwoty
W jakimś potwornym wulkanicznym transie,
Czyli jesteśmy tworamii tęskoty
Tego, kto wyrzekł przed wiekami: stań się!

Napróżno myśl się w głąb tajemnic wdziera,
Badając sfinksa oblicze złowieszcze —
Wszechświat się kończy, gdy człowiek umiera,
A może dotąd nie zaczął się jeszcze?

SKOŃCZONE DZIEŁO

Dzieło skończone! niepewnym majakiem
Znika ostatniej myśli szybki goniec.
Omdlała ręka nerwowym zygzakiem
Kreśli to słowo wymarzone: koniec!

Leży przedemną kilka setek stronic,
Czarny las liter z swoją głębią ciemną,
Lecz teraz milczą, nie pytają o nic,
Jakby na zawsze rozstały się ze mną.

A przecież dawniej, w ciągu mej roboty,
Śmiały się do mnie te białe stronic
I nieraz rankiem promień słońca złoty
Zatrzymywały, póki go nie chwycę.

Dusza już moja z dziełem się nie dzieli
Jak z przyjacielem swojemi myślami
I bohaterzy moi oniemieli
I nie pytają już: co zrobisz z nami?

Dałem wam życie, teraz idźcie sami
Na deski sceny lub kinowe płótno.
Jesteście dla mnie już tylko cieniami —
Dzieło skończone — a jednak mi smutno.

SPACER Z CHARTEM

Rozumiem w twoich oczach ten wyraz prośby niemej
Mój charcie pędziwiatrze — pójdziemy już, pójdziemy.
Tak biało dziś wieczorem od srebrzystego śniegu...
Wylatasz się na polu od brzegu aż do brzegu.

Czasami mi przepadniesz na skręcie polnej drogi,
Lecz gdy zagwiżdżę głośno przypadniesz znów do nogi
I spojrzysz w moje oczy radosnem, ufnem okiem,
Szczęśliwy, że ktoś czuwa nad każdym twoim krokiem.

Lecz ja tak smutny krocę po srebrnym białym śniegu
I choćbym ziemię zeszedł od brzegu aż do brzegu,
Nikt na mnie nie zagwiżdże, nikt na mnie zawoła
I nikt mię nie pogłaszcze, ścierając smutek z czoła.

Bo wszystko, co kochało, odwraca się odemnie,
Bo wszystko, co wierzyło, przestało wierzyć we mnie
I idąc przez to pole w kurzawie śniegu srebrnej
Przemysłam, żem nikomu na świecie niepotrzebny.

SŁOTA

Gdy słota wszelkie nadzieje przekreśli
I gra melodją rozkapanych rynien,
Nachodzą duszę niewesołe myśli,
Przypominając, com jest życiu winien.

I na ekranie jesiennej szarugi
Smutek przesuwa długą taśmę wspomnień
I wszystkie serca niespłacone długi
Jawią się wtedy z siłą wyogromnień.

I choćbym rozdał wszystkich skarbów przepych,
Nie oddam sercom, co serce me dłużne,
Bo wciąż wyłażą z swych kryjówek ślepych
Nowe żebraki, prosząc o jałmużnę.

Przyjaźń się na mnie wielkim głosem skarży,
Że zalegałem jej zawsze z zapłatą
I miłość mówi mi bladością twarzy,
Że brałem wszystko, nic nie dając za to.

Przy graniu nudnej, uporczywej słoty
Jawią się wszystkie na mej duszy rysy:
Dnie zmarnowane, niedoszłe tęsknoty
I bezustanne z życiem kompromisy.

CUDNE SĄ LETNIE WIECZORY

Cudne są letnie wieczory
W tej chwili, gdy słońce gaśnie,
Zachodząc za czarne bory
I jeszcze na nieba jaśnie
Ostatnie rzuca kolory.

Cudna jest owa godzina,
Gdy jakaś światów tęsknica
Niebo do ziemi przegina
I srebrnym sierpem księżycyca
Lasów wierzchołki ścina.

Cudowne jest owe wzgórze,
Gdzie przytuleni do siebie
Patrzymy na świat w purpurze,
Jakgdyby po jasnym niebie
Rozrzucił ktoś krwawe róże.

Bo ty i ja to dwie rzeki,
Złączone pełnią swych toni
Po fal wędrówce dalekiej —
I uścisk twej białej dłoni
Powiada sercu: na wieki!

TON WIECZNOŚCI

Marzyłem dawniej, że całe me życie
Będzie zbieraniem słodkich miódów pszczelich,
Że je rozstrzępię na złociste nicie,
By nigdy szczęścia nie skończył się kielich.

Dzisiaj zerwałem z tą dawną piosenką,
Bom z tych, co życia duży kawał uszli
I wiem, że wszystko zdobywa się męką,
Że perła rodzi się z cierpienia muszli.

Że kto się w szczęściu doczesnem zakopał
Jest wykreślonym z Prometejskiej listy,
Że człowiek służyć ma tylko za opał,
Aby nie wygasł płomień wiekuisty.

I wiem, że drogi już niema powrotnej
I jestem cichy tak jak dom bez gości,
Ale się nigdy nie czuję samotny,
Bo w duszy swojej słyszę ton wieczności.

NASZE HIEROGLIFY

By treści naszych godzin
Nie poznał byle jaki,
Na ściennym kalendarzu
Kreślimy różne znaki.

Kochamy ten raptularz
O treści tak niejasnej,
Gdzie chwila zła czy dobra
Ma swój hieroglif własny.

Co znaczą owe znaki
Nikt z ludzi nie odczyta,
Lecz dla nas w nich się kryje
Moc wspomnień niespożyta.

Pamiętasz wzlot ekstazy,
Gdy szczęście było ze mną?
Powiada o tem gwiazda
Lecąca w przepaść ciemną.

Pamiętasz moment zdrady
Gdy wszystko w nas płakało?
Powiada o tem serce
Przeszyte ostrą strzałą.

Pamiętasz noc rozstania,
Gdym włosy rwał w bezsile?
Powiada o tem krzyżyk
Drewniany na mogile.

Więc chociaż los okrutny
Ślad wszelki po nas zwieje,
Żyć będą w hieroglifach
Miłości naszej dzieje.

NADMIERNA MIŁOŚĆ

I nie miłować ciężko i miłować —
W jednym i w drugim ta sama zawilość.
Gdy bez miłości trudno egzystować,
Również nieszczęściem jest nadmierna miłość.

Bo ona serce nam przywała głazem
Codziennej troski o drugą istotę —
I nawet wtedy, gdy jesteśmy razem,
Nienasyconą zostawia tęsknotę.

I dzień miniony, który już nie wróci
Wydaje jej się niedopitą krużką
I każdym krótkim rozstaniem się smuci,
Jakgdyby było daleką podróżką.

I zawsze twarzą bladą z przerażenia
Wisi nad myślą wieczystej utraty
I czuwa nawet pośród nocy cienia,
By śmierć pod drzwi się nie zakradła chaty.

Jakże utrzymać ją i jak uchronić,
Gdy zbytnia miłość płoszy często miłość?
I nie miłować ciężko i miłować —
W jednym i w drugim ta sama zawilość.

COŚ NIBY EROTYK

Lubię twą smukłą, harmonijną kibić,
Twą zgrabną szyję i spadziste linje.
I tylko z tobą dusza moja płynie,
By do marzenia brzegów lekko przybić.

Jakiż najbardziej płomienny erotyk
Odda te słodkie oczekiwań dreszcze,
Które odczuwam, gdy z tobą się pieścę
Pragnieniem oczu i przez ręki dotyk?

Czy sercem smutne obchodzę popielce,
Czy znowu szczęścia odwróci się karta,
Tyś w każdej chwili dla mnie jest otwarta
I pić cię mogę kropla po kropelce.

Bez ciebie nie ma dla mnie oszołomień,
Bez ciebie ziemia jest głuchą i pustą.
Ty jedna rozkosz dajesz moim ustom
I krew rozpalasz w mych żyłach na płomień.

Tu zrobię koniec już rymów igraszce
I przy ostatku pointę wygrzebię:
Pisząc ten wierszyk myślałem o flaszcze,
Więc niech go panie nie biorą do siebie.

OGRÓD ŻYCIA

*Najdroższej żonie Irenie
poświęcam.*

SREBRNA META

Doszedłem do srebrnej mety,
Przeto dziś duszą niekłamną,
Którą oszukać daremno,
Widzę, co już poza mną,
I to, co jeszcze przedemną:

Poza mną szmat życia duży
I biała ręka kobiety,
Która mię wiodła wśród burzy
I stała przy moim boku
Pośród błyskawic i mroku,
Która umiała przebaczać,
Cierpieć i nie rozpaczać
I wierzyć zawsze ogromnie,
Że sława śmieje się do mnie.
Przeto dziś przed nią się kłonię,
Bowiem króluje niezłomnie
Na życia mojego tronie.

Przedemną róża w rozkwicie,
Córka — najdroższa dziewczyna,
Która w tej chwili zaczyna,
Swe własne życie.

Minionej wiosny wspomnienie,
Młodości mej przedłużenie,
Duch mego ducha bratni
Cel mego życia ostatni.

Duszyczko! na dalszą drogę
Gdzie często smutek uśmierca
A ból się wgryza pod ziobra,
Na wszystkie smutki i bole,
Na dolę i na niedolę,
Najdroższy skarb ci dać mogę
Z sezamu mojego serca:
 Bądź dobra!!

BLUSZCZ

Jak bluszcz oplotłem się wokół ciebie,
Swoje gałązki zmieszałem z twojemi,
Wchłaniając z tobą soki jednej ziemi
I światło słońca na tem samem niebie.

Wiem, że już losu swojego nie zmienię
I że bez ciebie nigdzie nie podążę.
Jak bluszcz umiera, gdy się nie przywiąże,
Tak ja związałem z tobą me istnienie.

Więc choć zmęczona marzysz o niebycie,
Dla mnie żyć musisz ty, młoda wieczyście,
Bowiem tak długo mam zielone liście,
Jak długo czuję przy mnie twoje liście.

DLA SIEBIE WIĘCEJ NIE PRAGNĘ NICZEGO

Dla siebie więcej nie pragnę niczego,
Ani zaszczytów ani ziemskiej chwały,
Jeno anioły spokoju niech strzegą
Tych lat ostatnich, jakie mi zostały.

Jeno niech kiedyś ktoś sercem uklęknie
Przed najgórnijszym tonem mojej fletni
I niech dogasam tak cicho i pięknie,
Jako dogasa czasem wieczór letni.

Jeno niech krzewy dwa wątłe i młode,
Jedyna córka i wnuczka jedyna,
Wypiją z życia tą wszystką urodę,
Jaką przynosi nam szczęścia godzina.

I dnie niech będą im jak błękit nieba
A noce ciche, wybite gwiazdami
I niech nie jedzą codziennego chleba
Jak ja, gorzkiemi zroszonego łzami.

WSZECHOBECNA

Chociaż cię niema, zawsze jesteś przy mnie
I dzielisz ze mną i radość i mękę.
W żarze gorączki, w dreszczu nagłem zimnie
Na sercu mojem kładziesz dobrą rękę.

Jak gwiazda, lśniąca na nocy warkoczu,
Wiedziesz mię w sennych rojeń świat daleki.
Ty jesteś jasnym światłem moich oczu,
Gdy rano tylko otworzę powieki.

Szumisz mi wiatrem i złocisz się słońcem,
Grasz mi na strunach złotych wszystkich cyter.
Między papierem a ołówka końcem
Płaszasz, jak z ramek patrząc na mnie z liter.

Ty mi wskazujesz takie drogi w życiu,
Gdzie myśl się nigdy nie zabłąka niecna —
Płyniesz w krwi mojej, bijesz w serca biciu
Niezapomniana, żywa, wszechobecna.

POSŁANIE

Taka cudowna jest dziś nieba głębia,
Taka przezczysta i bez żadnej smużki,
Że wypuściłem srebrnego gołębia
Z małym liścikiem na obręczu nóżki.

Czując bijące serce ptaka w dłoni,
Dokąd ma lecieć, szepnąłem sekretnie,
Więc wiem, że w dobrym kierunku pogoni
I że do celu swego trafi świetnie.

Jakże zazdrozczę mu owej podróży
Dalą jesienną, czystą, nieskończoną,
Ponad wioskami, spięciami wśród wzgórz,
Ponad lasami, które krwawo płoną.

I w pewnej chwili, cały w słońca złocie,
Spadnie jak kula z błękitnej przestrzeni
I z moim listem usiądzie na płocie,
Przy pewnym domku wśród sosen zieleni.

I ktoś mi drogi, kto na wieści czeka,
Wyjdzie, wiedziony przez długą tęsknotę
I za ten liścik posłany z daleka
Da mu na białej dłoni ziarno złote.

A potem list mój będzie pić przez oczy,
Swoje radosne błogosławiąc rano,
I w tło jesiennej, przezczystej przeźroczy
Wrośnie sylwetą czarną, zadumaną.

ODJAZD

Słodko jest witać się a gorzko żegnać,
Gdy kół wagonu, który z miejsca rusza,
Czepia się czyjaś zapłakana dusza,
Ażeby chwilę rozstania odegnać.

I gdy nie widząc już tej drogiej dłoni,
Która powiewa z okien białą chustką,
Wraca do domu ciemnych torów pustką,
Aby powierzyć łzy poduszce miękkiej.

A ktoś wtulony w cichy kąt wagonu
Pędzi tymczasem w czarną przestrzeń nocy,
Naprzeciw doli smutnej i sierocej
I dniom naprzeciw bez barwy i tonu.

I zamkniętymi chociaż chce oczyma
Dobry sen zwabić, aż do rana nie śni,
Bo w rozpędzonych kół stalowych pieśni
Słyszy wciąż jedno straszne słowo: Niema!

WIECZORNY ŚPIEW PASIEKI

Z okien mej willi, oddanej w opiekę
Zadumie polan i zielonych lasów,
O każdej porze mych letnich wywczasów
Jakby na dłoni widzę mą pasiekę.

Na stoku góry, którą na trzech brzegach
Świerkowym murem okalają bory,
Pomalowane na różne kolory
Stoją me ule w dziesięciu szeregach.

Przez dzień, gdy pszczoły w podróżach bez końca
Zbierają nektar z leśnych ziół na łące,
Drzemią me ule ciche i milczące,
Skąpane w blaskach złocistego słońca.

Lecz gdy nadejdzie godzina wieczoru
I wszystkie pszczoły powrócą z daleka,
Śpiewa i dzwoni cała ma pasieka
Jakby na radość skończonego zbioru.

I chłonąc duszą pasieki harmonję
Po pewnej chwili rozróżniam zdumiony,
Że ul niebieski, żółty czy czerwony
Nie gra tak samo, lecz na innym tonie.

I zanim księżyc w obłoki się weśni
Słucha ma dusza jak pasieka śpiewa,
Słuchają kwiaty i słuchają drzewa
Tej wiekuistej, wieczorowej pieśni.

ZABAWY Z WNUCZKĄ

Po papierosy wyprawiwszy Andzię,
Bo bez palenia nie siadam do kawy,
Bawię się moją wnuczką na werandzie,
Wciąż wymyślając jej nowe zabawy.

Obrywam kwiatki i czując ich zapach
Kicham tak głośno, że dziecko się śmieje,
Udaję pieska i chodzę na łapach,
Ryczę jak krowa i jak kogut pieję.

Kawałek bułki ułamawszy suchej,
Do spółki z moją figlarką maleńką
Karmimy lalkę lub płochliwe muchy,
Które przed naszą uciekają ręką.

To znów się z małą w chowanego bawię,
Kryjąc się w kącie wśród rupieci składu,
A kiedy głowę z kryjówki wystawię,
Uszczęśliwione dziecko wrzeszczy: Dziaduś!

Tak to zmieniłem się na stare lata
Bez trudu w dobrą i cierpliwą nianię —
Popatrzcie tylko, mędracy tego świata,
Co może zrobić z człowieka kochanie!

ODDANIE

Że jesteś moja ja oddawna wiem
I tej pewności nic już nie przekreśli.
Nad mojem życiem i nad moim snem,
Krażą twe myśli.

Zawsze wiesz pierwsza, kiedy wkraczam w mrok,
Gdy mię zaboli coś w życiu ogromnie
I zawsze wtedy słyszę cichy krok
Twejt troski o mnie.

Dawnobym stoczył się w tą zdradną toń,
Z której wypłynąć tylko silni mogą,
Gdyby nie wiodła mię twa dobra dłoń
Słoneczną drogą.

Sama nie pragniesz z czary życia pić,
Starczy ci szary byt i szata zgrzebna,
A jednak pragniesz jak najdłużej żyć,
Boś mi potrzebna.

Więc choćbym nic ci nie dał oprócz łez
I prócz zgryzoty bez promyka słońca,
Ty jedna za mną tak jak wierny pies
Pójdiesz do końca.

MOJA WNUCZKA

Chociaż wkroczyłem w tą życia połowę,
W której się zwolna dogasa jak świecznik,
Ciągle za tobą odwracam swą głowę
Tak jak za słońcem odwraca słonecznik.

I wiem, że szedłbym w przepaść piekła ciemną
Gdybyś spojrzała oczkami jasnemi.
Tak wielkiej władzy nie miała nademną
Żadna kobieta na tej wielkiej ziemi.

Rzeka uczyła mię tej prawdy wiecznej,
Że wciąż ucieka i wciąż jest tą samą —
Ale dopiero twój uśmiech słoneczny
Stał się wybitą do mądrości bramą.

Czasem się czuję smutny tak ogromnie,
Że chciałbym przepaść w nicości rozchwiei,
Ale twe rączki, wyciągnięte do mnie
Przyłądkiem stają się dobrej nadziei.

CHWILA

Dzień mych imienin... pięćdziesiąt trzy razy
Już go święciłem — hej! jak czas ucieka.
Życie me było tak jak górską rzeką,
Która na drodze swej ma same głązy.

Lecz je mijają swoją falą śliską
W szaleństwie pędu wieczyście niesytem.
Dziś już spokojnem toczy się korytem,
Jak gdyby wiedząc, że kres — morze blisko.

Więc nim się w jego wieczności rozplnę
O swoim własnym zapomniawszy bycie,
Chciałbym rozstrzępić na złociste nacie
Każdą żywota mojego godzinę.

I związać niemi serca wiecznie głodne
Zemsty, zawiści, złości i uniesień,
Aby się stały jako polska jesień
Takie przezczyste i takie pogodne.

I ludziom ciężar zdjąć, co piersi tłoczy
I najżarliwszą ich spełnić tęsknotę
I być tak dobry jak to słońce złote,
Które całuje teraz moje oczy.

PORANEK W GÓRACH

Otwieram oczy i z mego posłania
Widzę polanę i ciemny mur lasu,
Z poza którego słońce się wylania
 Jak zegar czasu.

Powietrze czyste tak i pełni woni
Wszystko przybliża przez tajemne sprawy.
Widzę wyraźnie i jakby na dłoni
 Każde źdźbło trawy.

I słucham duszą swoją pełną zdumień
Jakby nakazów tajemnej wyroczni.
Pod oknem domu rozdzwoniony strumień
 Szumi mi: Spocznij!

„Bądź jak otwarta do wieczności brama,
Jako ta chmurka biała i niczyja,
Bądź jako chwila, która w sobie sama
 Jest i przemija“.

Więc pełen szczęścia patrzę w błękit nieba,
Słucham jak strumień gra i dzwonią ptacy
I wiem, że dziś mi się śpieszyć nie trzeba
 Do żadnej pracy.

LILJE

Na swych łodygach prostych i strzelistych
Stoją wyniosłe, ciche, zadumane,
Trzymając w dłoniach białych i przejrzystych
Kielichy słońcem po brzegi nalane.

Owad lecący na słodczy połów
Omija z lękiem liljowe pijaństwo,
Bowiem nie z tego świata jest ich państwo,
Bo białe lilje są kwiatem aniołów.

A kiedy cisza letniego wieczoru
Miętko ułoży się na śpiących kwiatach,
Są tak jak mniszki w swoich białych szatach,
Na anioł pański zwołane z klasztoru.

Zapachy kwiatów słodsze niż wanilje
Płyną ku niebu ciepłą, wonną falą —
Zanim złociste gwiazdy się rozpalą
Mój ogród słucha, jak się modlą lilje.

ŚWIERSZCZE

Cisza wieczoru cały świat przenika
I wonne ptaki matioli roztula,
Zmęczone pszczoły wróciły do ula
I zcichła trutniów wesoła muzyka.

Lecz zanim dusza w tą ciszę się weśni,
Szukając pierwszej gwiazdy uśmiechniętej,
Już w mym ogrodzie stroi instrumenty
Kapela świerszczów do wieczornej pieśni.

Już wydał jeden pod oknem werandy
Ze swoich skrzypiec o strunie cieniutkiej
Ton cienki, ostry, przenikliwy, krótki,
Jakby wezwanie dla muzycznej bandy.

I zaraz za nim drugi skrzypek bieży,
Próbując innej tonacji rejestra —
A już po chwili gra cała orkiestra
Coraz rozlewniej i głośniej i szerzej.

I płyną myśli ku jakimś wyrajom
Ponad to życie codzienne i szare —
I noc ku ustom przychyła swą czarę
Pełną po brzeg gwiazdami... Świerszcze grają.

MOJA PASIEKA

Kiedy myślami od życia odleczę
I zciszę serca rozbujały dzwon,
Lubię w ogrodzie sięść przy mej pasiece
W pachnącym cieniu, który rzuca klon.

Stuletnie drzewo okryło się kwiatem
Bładozielonym, jak młodziutki liść,
Więc dla pasieki jest najśłodszym bratem:
Nie trzeba pszczołom po miód dalek iść.

Patrząc, jak chmura wylatuje z ula
Prosto w gałęzie, by nie stracić sił
A dobre drzewo cicho je przytula,
Dając im słodycz kwiatów i ich pył.

Łaska słoneczna leje się z niebiosów
I złotą siatkę wśród gałęzi tka,
A drzewo dzwoni tysiącami głosów
I tak jak harfa chórem pszczelim gra

W jawę się zmienia, co było marzone,
Opada z serca smutku szara pleśń —
I dusza moja staje się tym klonem,
Co śpiewa Bogu swą wieczorną pieśń.

ULE W ŚNIEGU

Spowite w grube słomiane pokrowce,
Białą mogiłą przysypane śniegu,
Pod ścianą domu w milczącym szeregu
Stoją me ule jak białe grobowce.

Przetrwały noce, kiedy wichry jęczą,
Śnieżne zadymki pełne lutej grozy
I nie raz jeden bezlitosne mrozy
Ścisnęły ścianę ich szklaną obręczą.

Lecz czy przetrwały? nieraz pełen lęku
Do białych mogił przytykam swe ucho —
Milczą me ule tajemnie i głucho,
Bowiem pod śniegiem nie odróżniam dźwięku.

Gdy błysnie słońce, gdy z ulowych słupków
Stopnieją śniegi, czując wiosnę bliską,
Może w ich wnętrzu znajdę cmentarzysko
Małych, czarnych, zamarzniętych trupków.

I głucho będzie pod moją czereśnią
I smutno będzie wśród kwiatów jabłoni,
Bo rój mój własny w słońcu nie zadzwoni
Swoją wiosenną, tryumfalną pieśnią.

NAJJAŚNIEJSZA WIZYTA

Przyjeżdża do mnie gość nie byle jaki,
Ktoś najjaśniejszy, ktoś czekany długo,
Więc przystroiłem z moim wiernym sługą
Wrota mej chaty w czeremchy i maki.

Dom wymieciony od czystości skrzy się.
Puszysty dywan na progu przed sienią.
Na białym stole cudnie się czerwienią
Słodkie truskawki na srebrzystej misie.

Przez okna wpada ogrodowy zapach
I toń błękitu wciska się niebieska.
Przez tydzień mego tresowałem pieska,
Ażeby służył gościowi na łapach.

Pająka, który drzwi werandy osnuł,
Kazałem przenieść na łopianu zielę
I zamówiłem u świerszczy kapelę,
Aby gościowi przygrywała do snu.

I w towarzystwie mego pieska kruczka
Czekamy obaj w gorączce jednakiej —
Przyjeżdża do nas gość nie byle jaki,
Moja maleńka, ukochana wnuczka.

CÓŻ JA CI POWIEM?

Cóż ja ci powiem, kiedy wszystko wiesz,
Bo kawał życia leży między nami? —
Skoro wiatr halny zerwie się z swych leż,
To wszystkie góry huczą piorunami.

Cóż ja ci powiem, kiedy życia pęd,
Który jest we mnie bez dna i bez miary,
Nieraz na duszę twoją rzucał smęt
I posłannictwo bezmiernej ofiary?

Cóż ja ci powiem, kiedy widząc toń,
W którą grzęznąłem swem junactwem dumny,
Zawsze mi swoją podawałaś dłoń,
Tak jak przyjaciel dobry i rozumny?

Za to, że byłem jak chmura lub dym,
Proście twych jasnych oczu nieuchwytny,
Dobrocią serca złocę dzisiaj rym,
Aby był cichy, miękki, aksamitny.

Wszystkie swe żądze przybiłem na krzyż,
Spokoju uczę się z lotu gołębi
I tak jak morze wśród wieczornych cisz,
Niepokój fali skrywam w swojej głębi.

I za ten wielki, niespłacony dług,
Co piękne we mnie dobywam z ukrycia
I każdy kamień z pod twych drogich nóg
Chciałbym usuwać, póki starczy życia.

CHART

Jest taki piękny — nazywa się Prince,
Jest taki głupi, jak zazwyczaj chart.
Jest tak łakomy, że za mięsa kęs
Pójdzie za każdym, choćby to był czart.

Gdy jem, na stole kładzie długi łeb,
Śledząc łakomie każdy ruch mych ust,
A gdy mu rzucę na odczepne chleb,
Nawet go nie tknie, bo ma lepszy gust.

Lecz kilo masła umie połknąć tak
Że na talerzu nie zostanie ślad.
A gdy mu za to dam powąchać bat,
Z głupia frant patrzy, jakby z nieba spadł.

Po batkach tuli się do moich nóg
Ze skargą w oczach wilgotnych od łez,
Bo wie, że serca wypełniając dług,
Znów go pogłaskam, mówiąc: głupi pies!

Wita mię skokiem na pierś przednich łap
I polizaniem mokrem w nosa front,
Więc choć jest głupi i nicpoń i drab,
Ma w mojem sercu własny ciepły kąć.

MÓJ RYM NA DZISIAJ

Chciałbym, ażeby dziś mój rym codzienny
Stał się miękki, jak tve białe dłonie,
Kiedy się kładą nocą na me skronie,
Aby odegnąć koszmar wizji sennej.

Chciałbym, ażeby stał się tak wrażliwy,
Jak twoje serce, które w nocnej ciszy
Już tak z daleka kroki moje słyszy,
Gdy wracam z objęć życia ledwie żywy.

Chciałbym, ażeby był tak uśmiechnięty,
Jak dziecko, które zbudziwszy się rano,
Chce chwycić w rączki tę smugę świetlaną,
Co z okna pada na pokój i sprzęty.

Chciałbym, ażeby dziś ukląkł przed tobą
I prosił, życie me biorąc w obronę,
Aby mi było wszystko przebaczone,
Co okrywało tve serce żałobą.

PIERWSZE SŁOWO

Już jest — zwiastują je już od miesiąca
Kapryśne sylab pojedynczych gońce,
Już o zagrodę białych ząbków trąca,
A brak odwagi mu, by wyjść na słońce.

Jedynie matka, która twarz nachyla
Nad główką dziecka z czujnością wciąż nową,
Wie, że nadchodzi już ta wielka chwila,
Gdy się narodzi w duszy pierwsze słowo!

I w pewien ranek, gdy w niebios przeżroczu
Pełno radości i skowrończych treli,
Dwoje fiołkowych uśmiechniętych oczu
Dostrzega promień słońca na pościeli.

I chciwa rączka małego człowieka
Pragnie popieścić się jego urodą,
Lecz promień słońca przez palce przecieka,
Jakby był ciepłą i złocistą wodą.

I z dziwu, który trzeba z kimś podzielić,
Dusza się dziecka otwiera jak brama,
By z za parkanu białych ząbków strzelić
To najpiękniejsze, pierwsze słowo: Mama!!

SZARZYŻNA JESIENI

Padła na ogród szarzyżna jesieni,
Wśród zwiędłej trawy błyszczący pierwszy szron.
Na drzewie liść się ostatni rumieni
I czeka cicho na swój bliski zgon.

Pod ścianą domu stoją głuche ule,
Jakgdyby wrosły w nieruchomy mur.
Niebo się w zgrzebną ubrało koszulę
Po zgonie słońca, skrytego wśród chmur.

Ścieżki i drzewa w mgle wilgotnej mokną,
Mgła się pokładła na kwietników grób.
Nocami śmierć się podkrada pod okno
I pozostawia ślady swoich stóp.

Na pustej ławce przy końcu aleji
Siadła tęsknota, dni minionych cień.
Wszystko jest jakieś szare, bez nadzieji,
Jak ten jesienny, bezsłoneczny dzień.

I w mojej duszy jest ogród bez blasku,
A kiedy spojrzę w serca mego dal,
Widzę jak snują się po ścieżek piasku
Cicha zgryzota i bezgłośny żal.

MOJA GODZINA

Każdy dzień dla mnie ma godziny różne,
W których się całe moje życie mieści:
Jedne są puste, hałaśliwe, próżne,
Inne przynoszą z sobą wiele treści.

Ale najśodsza jest godzina zmierzchu,
Ta krótka chwila, nim gwiazdy zakwitną.
Wszystko co niskie, co chadza po wierzchu,
W głąb się zapada wtedy nieuchwytną.

To nie jest haszysz nocy rozszalałych,
Co rankiem śmieją się twarzą zdradziecką
I dusza moja szuka kolan białych,
Do których pragnie się tulić jak dziecko.

Więc kocham nasze krótkie popołudnia,
Gdy prócz serc naszych niema innych gości
I gdy nasz mały pokój się zaludnia
Marami z naszej minionej młodości.

I każda wówczas najmniejsza pieśczęta
Ton każdy, którym o duszę twą trączę,
Ma w sobie tyle serdecznego złota,
Ile to słońce na szybach gasnące.

ROZKOSZ WYWCZASÓW

Weranda — słońce — ślaz i polne dzwonki..
Tuż pod sufitem gra kapela muszek.
Przez okna widać kwadrat górskiej łąki,
Na której konie swe pasie pastuszek.

Mój chart oparty długi pysk na łapach
Patrzy mi w oczy w milczącej pokorze —
Od rozgrzanego lasu płynie zapach
Lepkiej żywicy płynącej po korze.

Ledwo zaczęty dzień prędko nie zemrze.
Jest mi na duszy dobrze i słonecznie..
Pod moim domem strumień cicho szemrze:
Płynę, przemijam a przecież trwam wiecznie.

Wyszedłem wreszcie z owej smugi cienia,
Po której zawsze kroczy moje życie.
Czuję się małą cząstką wszechistnienia
Zgubioną jako ten obłok w błękicie.

Trwaj dobra chwilo i niech cię nie spłoszy
Żadne wspomnienie złe i nieopatrzone,
Niosące koniec wywczasów rozkoszy —
Bo gdy odnajdę się, znów cierpieć zacznę.

NASTRÓJ

Nad górą słońce pali się gorące...
Będzie pogodny i upalny dzień.
Kopice siana na skoszonej łące
Rzucają długi, granatowy cień.

Są one niby zegary słoneczne,
Ale nie czytam na nich pory dnia,
Bo wszystko wokół mnie jest jakieś wieczne,
Jakieś bez miary i jakieś bez dna.

I owa wila nad jarem wisząca
I las i łąka i ziół polnych woń,
I droga znikąd do nikąd wiodąca,
Tam, gdzie się z ziemią styka nieba toń.

I strumień, który swym szklanym szelestem
Nieskończoności pieśń dzwoni i gra
I ja sam wkońcu, który już nie jestem,
Bom we wszechświecie zgubił własne ja.

JABŁONKA

Młodą jabłonkę mam w swoim ogrodzie.
Codziennie patrzę jak mi się rozwija
I czy nie zmarzła na wietrze i chłodzie,
Który zabija.

O! jakże nikłe są jej pierwsze liście,
Zaledwie widne na gałązek końcu.
Tak długo czeka już na wiosny przyjscie,
Marząc o słońcu.

Pomnę tę chwilę przed kilkoma laty,
Gdy ją sadziłem w pewien ranek złoty.
Zakławszy w przyszłe jej liście i kwiaty
Część mej istoty.

Więc ile razy już kwiatami prószy
I wrasta w niebo czyste i błękitne,
Zawsze się zdaje wtedy mojej duszy,
Że ja tak kwitnę.

Jabłonko! tęskniąc za twą szatą białą,
Za wonnym spadłych twych kwiatów kobiercem,
Chciałbym cię ogrzać i otulić całą
Swem własnem sercem.

MIODOBTRANIE

Złote południe, omdlałe upojnie,
Wiatr ledwie poznać po traw cichym chrzęście
I tylko ule huczą niespokojnie,
Czując nieszczęście.

Bo oto zbliża się już dziwny potwór
Bez twarzy, w masce i w białej sukience —
Odkrywa daszki i w pachnący otwór
Wkłada swe ręce.

I biednym pszczołom bezlitośnie bierze
Plastry ciekące od złotego miodu:
Trud ich serdeczny, chowany w spichlerze
Na czasy głodu.

A potem plastry te chwyta w obroty,
Młyn z kadzią w cienką owiniętą chustę
I wytrzepawszy z ich wnętrza miód złoty,
Zwraca je puste.

I znów zaczyna się dni wielu praca
I owa podróż pośród łąk ogromu,
Z której niejedna pszczoła nie powraca
Do swego domu.

Sens tego wiersza? tylko myśl swą przyczaj,
A zgłębisz bytu odwieczną piosenkę:
Kropla słodczy powstaje zazwyczaj
Przez morze męki.

OCZY KOTA

Cudowne oczy ma mój kot angora
I z każdą porą ich kolor się zmienia.
Inne są z rana a inne z wieczora,
Gdy cały pokój tonie w morzu cienia.

Rano te oczy mają jasną zieleń
Jak Salerneńska zatoka o świcie,
Jakgdyby dziwną tajemnicą wcieliń
Wchłonęły morza włoskiego odbicie.

Potem przez jakieś czary nieuchwytne,
Gdy dzień się zbliży do swego południa,
Te oczy stają się ciemno-błękitne
I tak głębokie, jako wiejska studnia.

Lecz kiedy wieczór światła poprzegania
I świat otuli swoim szarym cieniem,
Te oczy palą się w mroku mieszkania
Jak dwa rubiny czerwonym płomieniem.

I chociaż nie chcę wpatrywać się muszę
W te dwa krwawniki, błyszczące wśród ciemnic,
Jakby rzuciła czar na moją duszę
Dżungla zczajona i pełna tajemnic.

JAK MIŁO WITAĆ SIĘ, JAK CIĘŻKO ŻEGNAĆ

Jak miło witać się, jak ciężko żegnać,
A los nam ciągle gotuje odjazdy.
Widzę twych oczu zapłakane gwiazdy,
Których wspomnienia nie mogę odegnać.
A przecież trudno mi wciąż naprzód nie gnać
I żyć na miejscu cichem życiem gazdy —
Jak miło witać się, jak ciężko żegnać,
A los nam ciągle gotuje odjazdy.

Do Wieczystego gdy pójdziemy Gazdy,
Już nie będziemy się ze sobą żegnać.
Byleby tylko przez to życie przegnać,
Które nam ciągle gotuje odjazdy
I już nie męczyć się i naprzód nie gnać,
Lecz wsiąknąć w wieczność jak dwie bliźnie gwiazdy —
Do Wieczystego gdy pójdziemy Gazdy,
Już nie będziemy się ze sobą żegnać.

TRZEJ GRATULANCI

Gdy dzisiaj rano ze snów wyjdiesz cienia,
Patrząc na słońce, co na szybach gra,
Niech wiersz mój pierwszy złoży ci życzenia
Dobrego dnia.

Rym mój najbardziej serce twoje wzruszy,
Bo stał przy tobie i w dobrem i złem,
Bo był najbliższym zawsze twojej duszy —
Dawno to wiem.

Gdy pod radości dziś żyjemy godłem,
Dla upiększenia dzisiejszego dnia
Dwóch gratulantów jeszcze ci przywiódłem,
Kotka i psa.

Pies łeb położy na łóżka wężglowie,
Popatrzy w oczy twe, zblakłe do łez
I tem spojrzeniem wszystko ci opowie,
Co czuje pies.

Kotek jak codziennie skoczy na twe łóżko,
Chciwy pieszczoty i porannych psot
I swem mruczeniem powie ci na uszko,
Co czuje kot.

Ja nic nie powiem — w słów codziennych echu
Nigdy nie mogę znaleźć duszy swej,
Ale pić będę światelko uśmiechu
Na twarzy twej.

WIECZOREM

Lubię wieczorem usiąść pod jabłonią,
Przy beczce wody w gęstwinie paproci,
Nad którą roje pszczoł spragnionych dzwonią,
Niosąc do ula kropelki wilgoci.

Na tafli wodnej światel grają tęcze
I drzemie niebo, blade jak gobelin —
Pszczoły obsiadły beczułki obręcze
I piją wodę, płynącą ze szczelin.

Słyszę, jak kropla cichutko się sączy
Przez starej beczki pory i pęknięcia.
Jest taka chwila, która wszystko łączy:
Kwiaty w ogrodzie padły w swe objęcia.

Wietrzyk wieczorny tak jak pies na łapach
Przypadł do ziemi pod murem ogrodu,
Z rozgrzanych uli bije słodki zapach
Plastrów, nabrzmiiałych od złotego miodu.

Z chmury wiszącej na niebios sklepieniu
Wsparte na piąstkach patrzą się anioły —
Niebo i ziemia słuchają w skupieniu,
Jak piją wodę umęczone pszczoły.

KOTEK NA WERANDZIE

Lubię werandę moją, pełną lśnień,
Gdy na jej szybach słońce się roztańczy,
A na podłogę rzuca wonny cień
Krzew cytrynowy, albo pomarańczy.

Zająły na niej każdy wolny kąt
Palmy, fikusy i leśne paprocie —
Na półkach w długi ustawione rząd
Kaktusy pławią się w słonecznym złocie.

Pod szklany sufit pną się liście lip,
Asparagusy zwieszają swe włoski.
We wszystkich oknach tulą się do szyb
Groszki, szkarlety, dzwonki Matki Boskiej.

Zaczarowany, kolorowy świat,
Pełen migotań słońca i błyskotek,
Gdzie wiele godzin spędzam codzień rad
W miękkim fotelu, a ze mną mój kotek.

Ja marzę, kotek rozpoczyna ruch:
Jakieś zabawy w krzewach w ciuciubabkę,
Gonienie sennych i omdlałych much,
Na które spuszcza swoją małą łapkę.

Figle, podskoki i zawrotny tan,
Jakby mu koniec ogona ktoś wygryzł.
Kot na werandzie czuje się jak pan,
Jak w tropikalnej dżungli młody tygrys.

Lecz w pewnej chwili, tak ruchliwy wprzód,
Nieruchomieje i czai się skrycie,
Bowiem na szybie ujrzał nowy cud:
Wierne swe własnej postaci odbicie.

KAKTUSY

Dziwne, kapryśne, niebywale formy,
Szaleństwo linji i maligna wzorów,
Jakby natura wyszła nagle z normy,
Znudzona cudną harmonją swych tworów.

Twarze bez nosa lub z kolczastym nosem,
Jakby wycięte z organizmu członki,
Główki, srebrzystym obrośnięte włosem,
Albo nieznanym nam stworzeń ogonki.

Polipie macki, narośla i guzy,
Kule, do których przyczepiono grzywę,
Zielone węże na głowie Meduzy,
Palm i cyprysów parodje złośliwe.

Świat z nieczystemi siłami pobratan,
Które wybiły mu na słońce chodnik.
Kto wyhodował go? czy jakiś szatan,
Czy obłąkaniem dotknięty ogrodnik?

A jednak lubię tych potworków nędzę
I ich ślimacze pięcie się ku górze,
Bo tak w nich czytam, jak w magicznej księdze,
Do której szyfrę wykradłem naturze.

Bo czasem, jeśli w jakiś ranek złoty
Z kaktusa strzeli kwiat barwami swemi,
Jest on podobny do krzyku tęsknoty
Za tem, co boskie i piękne na ziemi.

GDY CIĘ NIE WIDZĘ...

Gdy cię nie widzę, gdyś odemnie zdala,
Gdy przy rozstaniu zatrząśnie się brama,
Tęsknota światło w mej duszy zapala
I odnajduję w niej skarby Sezama.

Djamenty uczuć czyste i bez skazy,
Rubiny pragnień krwawe i płomienne,
Słowa — szmaragdy i słowa — topazy
I z pereł — wyznań różańce bezcenne.

I zdaje mi się, że gdy znów uklękę
Przed tobą, wtedy drżącemi wargami
Wyznam ci rzeczy tak przedziwne piękne,
Jak w Salomona „Pieśń nad pieśniami“.

Lecz skoro stanę przed twojem obliczem,
Lecz skoro spojrzę w twoje oczy jasne,
Słów nie znajduję i mówię o niczem,
I jak na wietrze lampa cicho gasnę.

I te uczucia gorące i żywe,
Gdy tylko przejdą moich ust zagrodę,
Są jak klejnoty liche i fałszywe,
Jakby straciły swój blask i swą wodę.

Więc znów jak ślimak chowam się w ukryciu
Ze swoją duszą i skarbami swemi
I wiem, że nigdy nie dowiesz się w życiu,
Czem jesteś dla mnie na tej wielkiej ziemi.

BAJKA KWITNĄCEGO SADU

Wszystko co boli odrzuć teraz precz,
Złe myśli wygnaj aż na dno pokładu,
Za chwilę stanie się cudowna rzecz:
Wejdziemy w bajkę kwitnącego sadu.

Niech po tej stronie ogrodowych wrót
Zostanie troska, tak jak pies na łapach —
Srebrzysta ścieżka prowadzi nas w cud:
W białe olśnienie, w ciszę, cień i zapach.

Gałęzie wiśni, czereśni i grusz
W białych welonach, jak u panny młodej.
Kwiaty jabłonek zaczerwienił róż,
Sad się przystroił na weselne gody.

Miękka murawa jak weselny stół,
Strojny stokrótek i fiołków przepychem.
W ciepłym powietrzu gra kapela pszczół
Brzęczeniem sennem, rozmodlonem, cichem.

Choć nieproszony, stary pijak bąk,
Który od ranka nektarem się napasł,
Wlazł w tulipanu rozchylony pąk
I pije chciwie, bez miary, na zapas.

Nadleciał wietrzyk i nerwowy dreszcz
Wstrząsnął drzewami od końca do końca.
I jął na ścieżki padać kwietny deszcz,
Jakby na przyjście oblubieńca — słońca.

A on łaskawie objął cały świat
Ciepłym spojrzeniem władzyki i księcia —
I białym deszczem rozplakał się sad
I wszystkie kwiaty padły w swe objęcia.

MAKI CZERWONE

Drogą tajemnych i nieznanych wcieleń,
Słońca i soków niezbadaną grą
Poczerwieniła dziś ogrodu zielen,
Jak gdyby grządki ktoś poplamił krwią.

To maki, dotąd na szypułkach ślepych,
Wczoraj stulone jeszcze w zwarty pąk,
Otwarły nagle swych kielichów przepych:
Czerwone djabły ogrodów i łąk.

Purpura płatków krwawa i ognista,
Przetkana wzorem czarnych jak noc plam,
Przywodzi na myśl ubranie Mefista,
W którym do Fausta raz zapukał bram.

Na dnie kielichów, które blask przesycą
Zwabiając pszczoły na słodczy łów,
Drzemie upojeń straszna tajemnica,
Dając nam wizję opjumowych snów.

Maki czerwone z swoim piętnem czarnem,
Któż wam kolory dał i dziwną moc?
Jesteście nieba, czyli piekła ziarnem,
Które raz szatan zasiał w ciemną noc?

BUKIECIK FIOŁKÓW

Bukiecik fiołków — garsteczka fioletu,
Ujęta w liści szmaragdową zieleń,
A daje czasem więcej rozanieleni,
Niżeli przepych kupnego bukietu.

O żądzę mówią maki purpurowe,
O adoracji róży śnieżna białość.
Lecz skromne fiołki mają też swą mowę,
Choć przytłumioną przez serce nieśmiałość.

Ileż powiedzieć zdolne są te kwiatki,
Ofiarowanie kochanej istocie,
Gdy pocałunek, zrodzony w tęsknocie,
Dotknie swem ciepłem fioletowe płatki?

Jak są szczęśliwe, gdy potem z uśmiechem
O ten całunek czyjeś wargi musną,
I gdy na białej piersi cicho usną,
Ukołysane jej równym oddechem?

Kiedy nas uczuć zamroczy opilość,
Kiedy tęsknota duszę nam uśmierca,
Fiołki są cichem posłaniem od serca,
Które wypełnia przeogromna miłość.

BIEDAKI WIOSNY

Zanim się złączą lata bakchanalje,
Rozpłomienione czarem róż i maków,
Najbardziej kocham dwóch wiosny biedaków:
Braciszka fiołka i siostrę konwalję.

Natura przez swe wyroki tajemne,
Chociaż ma skalę kolorów ogromną,
Dała im szatę ubogą i skromną,
Dała im życie krótkie i przyziemne.

I tylko jedno dostały biedoty,
To czego nie ma żaden z ziemskich kwiatów;
Dwa najcudniejsze z wszystkich aromatów,
Konwalja: szczęścia, a fiołek: tęsknoty.

POLSKIE MORZE

MORZA NIE DAMY!

W jaki dziś rytm uderzyć mi
I jakie w rymach wygrać gamy,
Gdy w duszy mojej morze grzmi,
Bijące w Gdyni twarde tamy —
I grzmot ten czuję w swoje krwi?!
Więc dla uczczenia cudnych dni
Nie wiersz, co tęczę rymów lśni,
Jeno przysięgę gromką mamy:
Morza nie damy!!!

Chociażby wróg, co z prawa drwi
W chciwości wiecznie takiej samej
Ogień podłożył nam pod drzwi,
Uderzył na kaszubskie chramy
I jako za krzyżackich dni
Ciszę pomorskich białych wsi
Zatopić chciał w potopie krwi,
Na swoje życie przysięgamy:
Morza nie damy!!!

NASZE MORZE

Nie tak fiołkowe jest to nasze morze,
Jak bajka wody koło Neapolu,
Ani w niem szmaragd Adrjatyku gorze,
Ani Salerna farbka w skał okolu,
Ale stalowe jest jak błysk pałasza,
Ale jest szare tak, jak dola nasza.

A jednak jest to morze bardziej piękne
Od wszystkich, jakie widziałem na ziemi
I kiedy duszą na brzegu uklęknę,
Gdy stopy liże mi falami swemi,
Bezmierna radość serce mi zalewa,
Bo w onem morzu cała Polska śpiewa.

I nie jest śpiew ten kołysanką fali,
Błękitem nieba słodko uśmiechniętej,
Ale w nim odzew bojowy się pali,
Ale w nim huczą grzmoty i tętenty,
Bo na tym brzegu, pod niebem z ołowiu,
Polska stać musi wiecznie w pogotowiu.

NA HELU

Już przemierzyłem cię stopą pielgrzyma
Kraino bajki całą wszerz i wzdłuż
I już wypilem chciwemi oczyma
Trzy twe błękity: nieba i dwóch mórz.

Już noc schylała mi brzeg swojej czary,
Aby ustami gwiazd szczęśliwość pić
I znów uciekam do swej doli szarej,
Boś jest za piękna, by tu dłużej żyć.

Ale w swej duszy twój obraz wywożę
I jeszcze ciągle w uszach moich gra,
Twe małe morze i twe wielkie morze,
Twa fala cicha i twa fala zła.

I zdaje mi się, że leżę pod drzewem
W lesie, pod którym śpi kaszubska wieś,
Ukołysany twoich mórz dwuśpiewem,
Płynący w bezkres, w nieskończoność, gdzieś...

Że bór nademną szumi drzew szelestem,
Między którymi widać morza skraj,
Że zapomniałem nareszcie kim jestem
I szepczę cicho chwili: Jeszcze trwaj!

POD ŻAGLEM CIEMNOBRONZOWYM

Pod żaglem ciemnobronzowym,
Wydętym wiatru pieszczotą,
W pogodny ranek na morze
Wyjeżdżam ze swą tęsknotą.

Jest cicho, tylko przy burcie
Czasami zaszemrze fala —
Niby wspomnienie dalekie
Brzeg się od łodzi oddala.

Goreje nad głową słońce
Podobne błyszczącej misie.
Od jego blasku zatoka
Od brzegu do brzegu skrzy się.

Na pełne morze płyniemy
Bez wiosła i bez sternika
Ku owej linji wyraźnej,
Gdzie niebo z morzem się styka.

I może raz nam się uda,
Zmierzywszy co niezmierzone,
Do horyzontu dopłynąć,
Zaglądnąć na tamtą stronę.

Dłoń moja prostuje żagle,
Gdy wiatr uderzy pod zły kąt —
Po płynnem srebrze płyniemy
Z tęsknotą moją do nikąd.

DWUSPIEW

Pluszcząc przy brzegach Helu senną falą
Tak mi śpiewało dzisiaj Małe Morze:
Jestem zamkniętą łukiem brzegów dalą,
Lecz znoszę swoją skończoność w pokorze.

Tą tylko głębią, jaka jest mi dana,
Chłonę zachodów i wschodów odbicia,
Ale toń moja nierozkołysana
Ma w sobie spokój myślącego życia.

Bijąc o brzegi Helu szumną falą
Tak mi śpiewało dzisiaj Wielkie Morze:
Jestem bezkresem, nieskończoną dalą,
Gdzie wschodzą zorze i zachodzą zorze.

Ma toń, schronisko przeraźliwych ciemnic,
Wiecznie się burzy i wiecznie się kłębi
I tak jak duszy człowieczej tajemnic
Mojej głębiny nigdy nikt nie zgłębi.

A ja przechodząc leśnistem bezdrożem
Myślałem sobie, wzruszony głęboko,
Że byłem niegdyś tem szumiącym morzem,
A dzisiaj jestem tą cichą zatoką.

KOSODRZEWINA NA HELU

Skądże się wzięłaś tu na piasku srebrnym
Mieszkanko dzikich i dalekich Tatr?
Czy w jakimś locie wściekłym i podniebnym
Twoje nasiona przygnał halny wiatr?

Czy jakiś stary i mądry ogrodnik
Tu cię posadził, przyniesioną z gór,
Aby piaszczysty wśród morzami chodnik
Przemienić w piękny i szumiący bór?

Jeszcze piękniejsze niż w górach masz świty
I jeszcze krwawszy ton wieczornych zórz.
Zamiast jednego, widzisz trzy błękity:
Nieba na górze i dwóch w dole mórz.

Czemuż więc w lasu wieczorowym szumie
Nie zaszeleści twoich szpilek szmer,
Lecz nieruchoma trwasz w cichej zadumie,
Patrząc na morze pełne złotych skier?

A może patrząc w ową lunę złotą,
Która nad morzem wróży jutro wiatr,
Jesteś przypadłą do ziemi tęsknotą
Do gorejących o zachodzie Tatr?

LATARNIA MORSKA

Gdy noc rozpuści swe czarne warkocze
I ciemność morze bezkresne ogarnie,
Nieprzeniknione przedzierają mroczce
Złotem błyskaniem nadmorskie latarnie.

Lecz pośród latarń na półwyspie wielu,
Wynurzających się z ciemności łona,
Jaśniej niż inne błyszczą ta na Helu,
Między morzami dwoma zawieszona.

Więc skoro burza wzruszy głąb odmętów
I wiatr zajęczy tak jak dzwon na trwogę,
Jest ocaleniem dla bark i okrętów,
Którym wskazuje do przystani drogę.

A stary sternik, który w długie noce
Sterczy przy kole bez zmrużenia powiek,
Gdy mu jej światło z dali zamigoce,
Wie, że prócz niego czuwa drugi człowiek.

Jak często w życiu, gdy się człowiek marni
I już zawisa nad brzegiem otchłani,
Brak mu w ciemności tej dobrej latarni,
Wiodącej w spokój i szczęście przystani.

WIATR HALNY NAD MORZEM

W złote południe od dalekich Tatr
Nad Helu ciche i błękitne wody
Przyleciał nagle ciepły halny wiatr,
Aby pohulać tak jak góral młody.

Świerki i sosny wytermosił wprzód,
Z kosodrzewiną wyściskał się w borze,
A potem czując nowych przygód głód
Z wściekłością rzucił się na Małe Morze.

Hej! zakończyła się sennota fal
I siesta nieba i morza pogodna.
Grzywy pian srebrnych pedzą z szumem w dal,
Cała zatoka wzburzona aż do dna.

Poświsty wiatru głuszy głębin huk,
U brzegów srebrne wytryskają piany,
Ponad biegnący w morze mola łuk
Wicher przerzuca ogromne bałwany.

I tylko słońce pośród krwawych lśnień
Zapada zwolna poza Gdyni wzgórza,
Jakby zdziwione, że w pogodny dzień
Na morzu dzika rozszalała burza.

GĄSKA NAD MORZEM

We wsi Chałupy, idąc ścieżką wąską
Między łanami szumiącego zboża,
Nagle ujrzałem cię o polska gąsko,
Na modrej łące tuż nad brzegiem morza.

Było południe — nad Pucką zatoką
I ponad Gdynią, widniejącą w dali,
Wisiało słońca rozognione oko,
Iskrząc się złotem na uspionej fali.

Skubałaś krótką chwilę trawki młode,
Zgrabnie swą długą wyginając szyję,
A potem prosto z łąki zeszedłaś w wodę,
Która o brzegi senną falą bije.

I na granicy cudnej Helskiej ziemi
I morza w słońca skąpanego złocie
Zastygłaś cała linjami białymi,
W dal zapatrzona w bezmiernej tęsknocie.

Gąsko! ty więcej dałaś duszy w darze
Od twoich ludzkich koleżanek wielu,
Które swym krzykiem napełniają plaże,
Nie widząc morza piękności ni Helu!

POŻEGNANIE Z MORZEM

Nim zachłysnąłem się farbami twemi
Już cię o polskie morze żegnać muszę,
Bom z tej dalekiej i z tej smutnej ziemi,
Której na wieki zasprzedałem duszę.

Po raz ostatni, zanim sen się prześni,
Piję oczyma twe bezkresne dale,
Po raz ostatni słucham twojej pieśni,
Czyhając wiecznie na dziewiątą falę.

Bo ona jedna szemrze mi tajemnie,
Że morze dalej będzie żyło we mnie,
Że kiedyś przestrzeń bajkę wyogromni,
I nieraz swoim szumem się przypomni.

Że gdy tęsknota zbyt się nasili,
Snując obrazy nad bezsennem łóżem,
W jakiejś szczęśliwej mego życia chwili
Znowu się znajdę nad szumiącym morzem.

SZCZYPTA MĄDROŚCI

ZANIM NA ZBIÓRKĘ DUCHÓW DZWON UDERZY

Zanim na zbiórkę duchów dzwon uderzy,
Nie oglądajmy się wstecz, lecz przed siebie.
Jak słońce, które już zaszło na niebie,
Co jest za nami do nas nie należy.
Nie ten jest mocny, kto w przeszłości grzebie,
Ale przyszłością swoją wartość mierzy —
Zanim na zbiórkę duchów dzwon uderzy,
Nie oglądajmy się wstecz, lecz przed siebie.

Gdy w życiu tyle nam umiera rzeczy,
Patrzeć w swe życie, to znaczy umierać,
A nam potrzeba z losem wciąż się ścierać,
Czuć wieczną młodość, choć wiek temu przeczy.
I dzień tą dobrą nadzieją otwierać
Że na coś przyda się nasz trud człowieczy —
Gdy w życiu tyle nam umiera rzeczy,
Patrzeć w swe życie, to znaczy umierać.

ANONIMY

Wczoraj dostałem przez pocztę anonim,
Taki co błotem duszy ludzkiej cuchnie —
List przeczytałem, wrzuciłem pod kuchnię,
Sprawa skończona i nie myślę o nim.

Wszystko mi jedno jak się zwie oszczerca,
Czy to ktoś obcy czy nawet mi bliski.
Wszystko co brudne, co ma motyw niski,
Nigdy nie czepi się mojego serca.

I tylko wstyd mi, że są tacy ludzie,
Którzy się czają jak płazy w ukryciu,
Którzy nie widzą nic pięknego w życiu
I sami brudni tarzają się w brudzie.

Pisać anonim to przecież dzieciństwo,
Które na nikim wrażenia nie czyni,
Bo gdyby mowę dano kiedyś świni,
Toby napewno powiedziała... świństwo.

DWA PSY

Pies mały zwraca na siebie uwagę
Przez to, że wszystkich na drodze napada.
Nawet na ptaka w powietrzu ujada,
Markując własną siłę i odwagę.
Na takie pieski jest jedyna rada:
Nosić ze sobą zawsze tęgą lagę —
Pies mały zwraca na siebie uwagę
Przez to, że wszystkich po drodze napada.

Pies duży lubi słodczy spokój
I w ciepłym słońcu czuje się najlepiej —
I tylko wtedy, gdy go ktoś zaczepi,
Chociaż z niechęcią wyrusza do boju.
A chociaż nawet cierpi od pcheł roju
Udając senność nie otwiera ślepi —
Pies duży lubi słodczy spokój
I w złotym słońcu czuje się najlepiej.

RADA DLA MAŁŻONKÓW

Jeśli po kłótni gniewu czarne cienie
Zasnują dom wasz milczeniem grobowem,
Zakończcie zaraz nieporozumienie
Dobrym uśmiechem albo dobrem słowem.

I choć czujecie, że was pokrzywdzono,
Nie roztrząsajcie kwestji winy dalej.
Poto nazwano was mężem i żoną,
Abyście sobie wzajem przebacziali.

Szczęście jest płoche, a więc trzeba czuwać,
By jak kanarek z klatki nie uciekło.
Życie jest krótkie — pocóż je zatruwać
I zmieniać każdy dzień w udręczeń piekło.

Kto drogę życia miał dobrą i jasną,
Do końca winien w tej jasności dożyć:
Między sercami, gdy się drzwi zatrzasną,
O jakże trudno znowu je otworzyć!

WOLNOŚĆ

Swoją wolnością każdy z nas się puszy,
Każdy upaja się w życiu jej krasą,
A jest spętany i wzięty na łąso
Więzami ciała i więzami duszy.

Próżno marzymy, by być członkiem załóg,
Które szukają awantur i przygód.
Każdy otrokiem jest życiowych wygod,
Każdy ma jakąś namiętność lub nałóg.

Jak cienie ciągle wylazą z ukrycia
Srogie nakazy, twarde obowiązki,
Przyjaźń, uczucie, familijne związki,
Niewykupiony nigdy weksel życia.

A gdyś już zerwał to, co opierścienia,
Gdy ci się wolne, górne loty marzą,
Stają na progu z zapłakaną twarzą
Najgorsze mary: wyrzuty sumienia.

Na tym padole cierpienia i płaczu
Niesiemy wszyscy swoje własne krzyże,
Bo kogo życie trzyma w swym jasyrze,
Ten aż do śmierci nie spłaci haraczu.

DOBRA RADA

Człowiek planuje, obmyśla i marzy,
Oblicza wszystkie szanse jak u graczy,
A ostatecznie zawsze się poparzy,
Chociaż planuje, obmyśla i marzy
A ostatecznie zawsze jest inaczej.

Więc spij spokojnie, cokolwiek się zdarzy,
A gdy się zdarzy, nie mów: co to znaczy?
I nie pokazuj zdziwienia na twarzy,
Lecz spij spokojnie, cokolwiek się zdarzy,
Bo w życiu zawsze dzieje się inaczej
Niż ktoś planuje, obmyśla i marzy.

DWA TYPY

Człowiek uprzejmy w uśmiech twarz swą zdo­bi,
Zawsze do końca prośby twej wysłucha,
A choć dla ciebie potem nic nie zro­bi,
Przecież na chwilę podnosi ci ducha.
I uważając go za swego druha
Poszedłbyś za nim na pustynię Gobi —
Człowiek uprzejmy w uśmiech twarzą swą zdo­bi,
Zawsze do końca prośby twej wysłucha.

Człowiek niegrzeczny zawsze cię ofuknie,
Choćbyś najlepiej wypełnił robotę.
Jest miękki w każdym swej istoty włóknie,
A lubi twardą udawać istotę.
Lecz podejź bliżej, zagłędnij pod suknię,
A znajdziesz serce ogromne i złote —
Człowiek niegrzeczny zawsze cię ofuknie,
Choćbyś najlepiej wypełnił robotę.

GDZIE TYLKO MOGĘ, LUDZIOM DOBRZE CZYNIĘ

Gdzie tylko mogę, ludziom dobrze czynię
Rad, jeśli mogę ulżyć ich niedoli,
I umiem poznać co człowieka boli
Po trosce w oczach i po smętnej minie.
Czasem się ciężko człowiek namozoli,
Nim może usiąść przy codziennem winie —
Gdzie tylko mogę, ludziom dobrze czynię
Rad, jeśli mogę ulżyć ich niedoli.

Bo wiem to dobrze i silnie w to wierzę,
Że przecież jakaś odpłata mię czeka,
Że co zrobiłem kiedyś dla człowieka
Prędzej czy później życie me odbierze.
Więc czy ta chwila bliska czy daleka,
Nigdy uczynków tem swoich nie mierzę,
Bo wiem to dobrze i silnie w to wierzę,
Że przecież jakaś odpłata mię czeka.

LUZKA MENAŻERJA

Nie pomoże tu sugestja,
Ni aksamit dobrych rąk:
W każdym z nas jest jakaś bestja
Z zoologii znana książ.

Jedni są z drapieżców serji,
W drugich śpi łaskawy zwierz —
W wielkiej ludzkiej menażerji
Znajdziesz wszystko czego chcesz.

Jest pantera, lampart, tygrys,
Jest ryczący zawsze lew:
Taki serce by ci wygryzł,
Byle chleptać twoją krew.

Jest muł głupi i usłużny,
Jest lis, który z wszystkich drwi
I są małpy maści różnej
Głównie pośród słabej płci.

Są wielbłądy, wydry, lamy,
Smoki piwne z brzuchem dyń,
Lecz najwięcej spotykamy
Pospolitych zwykłych świń.

DWOJAKA WIELKOŚĆ

Są ludzie wielcy umysłem i pracą,
Którzy dziełami swemi świat bogacą,
Lecz jak to robią, nikt z ludzi nie słyszy,
Bowiem swą wielkość wykuwają w ciszy.

Lecz są i tacy, którym własny ozór
Nadaje pracy i zasługi pozór,
I którzy sądzą, że krzykiem i wrzawą
Potrafią zdobyć do wielkości prawo.

Człek i instrument mają już w zarodku
Te same prawa dźwięku i harmonji:
Cymbał — im bardziej jest pusty w swym środku,
Tem głośniej dzwoni.

TROCHĘ PRAWDY

Zawsze o bliźnim swoim mówi: Pijak!
Ten, kto do tego ma najmniejsze prawo,
Bo sam nie gardzi trunkiem i zabawą
I bez flaszeczki nie wyżyje nijak.
Jeden na oczach ludzi pije żwawo,
Drugi w pijaństwie swem jest cichy kryjak —
Zawsze o bliźnim swoim mówi: Pijak!
Ten, kto do tego ma najmniejsze prawo.

Bo kto pijaka nie umie szanować,
Ten w niebie kropli wódki nie dostanie.
W tramwaju niech mu miejsca robią panie,
Aby nie musiał ciałem balansować.
A gdy go spotkasz wspartego przy ścianie,
Podaj mu rękę i do domu prowadź —
Bo kto pijaka nie umie szanować,
Ten w niebie kropli wódki nie dostanie.

POCHWAŁA SKROMNOŚCI

Są tacy, którzy długą pracą życia
Zyskali w jednej sztuce doskonałość,
A jednak ciągle czują swoją małość,
Która nie lubi wychodzić z ukrycia.
Niczego nie chce dla siebie dojrzałość,
Jeśli nie daje pełnego pokrycia —
Są tacy, którzy długą pracą życia
Zyskali w jednej sztuce doskonałość.

Są tacy którzy choć jeszcze młokosi,
Myślą, że wszystkie pojedli rozumy
I swoją zdolność noszą pełni dumy,
Która się wiecznie o pochwałę prosi.
Z kwiatów talentu jest kropla perfumy,
Fura zaś siana, gdy kto trawę kosi —
Są tacy, którzy choć jeszcze młokosi,
Myślą, że wszystkie pojedli rozumy.

GDY Z KIM ROZMAWIAM, PATRZĘ W JEGO OCZY

Gdy z kim rozmawiam patrzę w jego oczy,
Pragnąc go zmusić, by czynił to samo,
Bo to co kryje się za serca bramą
Najlepiej w źrenic widzi się przeźroczy.
Prawda zadzwoni wtedy czystą gamą,
Spadnie nam z duszy to co duszę tłoczy —
Gdy z kimś rozmawiam patrzę w jego oczy,
Pragnąc go zmusić, by czynił to samo.

Podstęp i zdrada, z myślami podłemi
Kryjąc się, w oczy prosto ci nie patrzy
I chociaż uśmiech przybierze najgładszy,
Ma zawsze oczy spuszczone do ziemi.
Jest tak jak złodziej, który coś ukradłszy,
Powraca zawsze drogami ciemnymi.
Podstęp i zdrada, z myślami podłemi
Kryjąc się, w oczy prosto ci nie patrzy.

PLOTKA

Choćbyś zasady miał kute w granicie
I był przejrzysty do samego środka,
Zawsze na drodze twojej stanie plotka,
Która zatruje ci spokojne życie.
Więc nigdy nie wiesz, co cię jutro spotka,
Kto w twoje plecy cios wymierze skrycie,
Choćbyś zasady miał kute w granicie
I był przejrzysty do samego środka.

Plotka wypiera się swego rodzica,
Jakby wzorować się chciała na Piotrze.
I wszędzie wciśnie się i wszędzie dotrze,
Bowiem jest szybka tak jak błyskawica.
Plotka jest lepka jak w lesie żywica,
Zwała każdego, kto się o nią otrze —
Plotka wypiera się swego rodzica,
Jakby wzorować się chciała na Piotrze.

Plotka jak woda przez palce przecieka,
Wymknie się nawet zaciśniętej dłoni.
Przed jej napaścią nic się nie obroni,
Ni prawość duszy, ni wartość człowieka.
Jest tak jak psisko, co za płotem szczeka,
Bo wie, że kij go mocny nie odgoni.
Plotka jak woda przez palce przecieka,
Wymknie się nawet zaciśniętej dłoni.

NIL DESPERANDUM!

Chociaż jest ciężko, bądźmy dobrej myśli,
Nie opuszczajmy w rezygnacji głowy.
Jaki w swej duszy naprzód ktoś zakresli,
Taki wszystkiego jest efekt końcowy.
Jakże nam czekać przyszłości różowej,
Gdyśmy od własnych zwątpień wciąż zawiśli?
Chociaż jest ciężko, bądźmy dobrej myśli,
Nie opuszczajmy w rezygnacji głowy.

Kto zawsze idzie naprzeciw swej doli
Z dobrą nadzieją, przed tym zło ucieka
I ten skupieniem mocnej swojej woli
Zmorę nieszczęścia trzyma wciąż z daleka.
Los ludzki zawsze jest w ręku człowieka,
Gdy się zwątpieniu porwać nie pozwoli —
Kto zawsze idzie naprzeciw swej doli
Z dobrą nadzieją, przed tym zło ucieka.

DWIE ZWROTKI

Innemu umiesz doradzać: bądź dobry!
Ale sam jesteś egoista skryty.
Z lęku o zdrowie nosisz ciepłe bobry,
A brat twój płaszczyk ma wiatrem podszyty.
Chodzisz po świecie opity i syty,
Gdy tylu świeci wychudłemi zióbry —
Innemu umiesz doradzać: bądź dobry!
Ale sam jesteś egoista skryty.

W oku bliźniego widzisz słomkę małą,
Belki we własnem nie zobaczysz nijak.
Sam bardzo często trąbisz przez noc całą,
A o swym bliźnim mówisz: straszny pijak!
Własne swe brudy chowasz pod powijak,
Cudze wypatrzysz nawet pod powałą —
W oku bliźniego widzisz słomkę małą,
Belki we własnem nie zobaczysz nijak.

REFLEKSJE

Z nieprzyjaciela nie cieszę się klęski,
Chociaż go spotka nawet zasłużenie,
Bo, gdy na drodze mej stanie cierpienie,
Serce me ściska zawsze ból niemęzki.
Taki jest życia bieg i przeznaczenie,
Że ktoś przegrywa, by ktoś był zwycięzki —
Z nieprzyjaciela nie cieszę się klęski,
Chociaż go spotka nawet zasłużenie.

Czemuż nie mogę takiej chwili dożyć,
By wokół widzieć uśmiechnięte twarze,
By każdy dostał coś od szczęścia w darze,
Ażeby radość na świecie pomnożyć?
Radość ze smutkiem zawsze idzie w parze,
Gdzie tylko księgę żywota otworzyć —
Czemuż nie mogę takiej chwili dożyć,
By wokół widzieć uśmiechnięte twarze?

WSZYSTKIM NA ŚWIECIE DZIŚ ŹŁE JEDNAKOWO

Wszystkim na świecie dziś źle jednakowo,
We wszystkich oczach cień troski się czai.
A więc wyzbądźmy się starych zwyczaj,
Aby nad innych wywyższać się głową.
Jesteśmy ptacy tych samych wyrai,
Co muszą przebyć chmurę piorunową — —
Wszystkim na świecie dziś źle jednakowo,
We wszystkich oczach cień troski się czai.

Więc dobrzy bądźmy dla siebie wzajemnie,
Więc nie żałujmy sobie serca danin.
Przecież biedota Boży Franciszkanin
Tak samo w tobie bracie jest jak we mnie:
Swą lepszą częśćkę z szarych życia tkanin
Trzeba wydobyć tylko potajemnie —
Więc dobrzy bądźmy dla siebie wzajemnie,
Więc nie żałujmy sobie serca danin.

Wnuki nas będą wspominać z podziwem
Kiedyś, w dalekiej, może lepszej chwili,
Żeśmy najgorsze te lata przebyli
I przecierpieli swoim sercem żywem,
Wierząc, że przecież wkońcu się przesili
Wszystko, co było złem, głupiem i krzywem —
Wnuki nas będą wspominać z podziwem
Kiedyś, w dalekiej, może lepszej chwili.

DOBRA RADA

Wszystkie cierpienia, które daje dola,
Wszystkie swe małe troski i zgryzoty
Wynieśmy dzisiaj na bezkresne pola,
Na świat szeroki, słoneczny i złoty.

I to co boli na wiatr rzućmy w lesie
Lub w zboże, które płynie srebrną rzeką —
Niechaj jej fala porwie i poniesie
Zły ciężar życia daleko, daleko.

Pod niebem czystym, błękitnym, bez końca,
Pijmy oczyma wszechistnienia szczęście,
Albo jak dzieci złoty piasek słońca
Przez zaciśnięte przesypujemy pięćcie.

W szumy wsluchajmy się starego boru,
Lub w pieśń skowronka wśród niebios ogromu,
A powrócimy w godzinie wieczoru
Dobrzy i cisi do własnego domu.

ZGUBIONY KLUCZ

Gdy tylko w życiu spotkam twarz kochaną,
Zaraz odgradza bezlitosny los
Nasze istnienia nieprzebitą ścianą,
Przez którą żaden nie dochodzi głos.

Każde z nas idzie swoją własną drogą
I choć ku sobie ślemy nieraz myśl,
Nawet te myśli spotkać się nie mogą,
Bo żadna nie zna więcej swego „dziś“.

A jeśli nawet po latach się zdarzy,
Że znów staniemy sobie twarzą w twarz,
Już coś obcego będziemy mieć w twarzy,
Jakby nad sercem ktoś postawił straż.

I nie będziemy pić swoich postaci
Jasną radością roz tęsknionych ócz,
Bowiem rozłąki prawem jest, że traci
Do duszy ludzkiej najpiękniejszy klucz.

CZŁOWIEK WCIAŻ MARZY O CZEMŚ...

Człowiek wciąż marzy o czymś, na coś czeka,
Buduje zamki nadziei na lodzie
I wiecznie kreśli miliony na wodzie,
Bo taka jest już natura człowieka.
A po doznanym najczęściej zawodzie
Przeklina los swój, jęczy i narzeka —
Człowiek wciąż marzy o czymś, na coś czeka,
Buduje zamki nadziei na lodzie.

Z cudownej bajki o skarbach Sezama
Już tylko zbójcy zostali na świecie.
Choć znasz zaklęcia chowane w sekrecie,
Żadna się na nie otworzy brama.
To tylko w życiu swoim zdobędziecie,
Co wypracuje wasza praca sama —
Z cudownej bajki o skarbach Sezama
Już tylko zbójcy zostali na świecie.

JEŚLI MASZ W ŻYCIU OKRES POWODZENIA

Jeśli masz w życiu okres powodzenia
Zawsze myśl o tem, że nie potrwa długo,
Że to jest tylko przypadku zasługą,
Że tuż za światłem kroczy smuga cienia.
Fortuna, chociaż zrazu jest ci sługą,
Tak jak kobieta swe humory zmienia —
Jeśli masz w życiu okres powodzenia
Zawsze myśl o tem, że nie potrwa długo.

Nie jeden dzisiaj dostaje się na dno,
Który był wczoraj u ludzi na szczycie.
Na różę, która jest w pączków rozkwicie
Zawsze czyhają ci, co nocą kradną...
Więc tak rozumnie urządz sobie życie,
By los cię klęską nie zaskoczył żadną —
Nie jeden dzisiaj dostaje się na dno,
Który był wczoraj u ludzi na szczycie.

SŁOWA KŁAMLIWE

Gdy ten, kto knuje ci śmierci potrójność,
Zacznie cię nagle wychwalać przed światem,
Nigdy w swem sercu nie polegaj na tem,
Bo to jest tylko słów kłamliwych bujność.
I choć przyrzeka, że ci chce być bratem,
Nie wierz i podwój jeszcze swoją czujność,
Gdy ten, kto knuje ci śmierci potrójność,
Zacznie cię nagle wychwalać przed światem.

Nikt nigdy nie wie, co jest za kartami,
Najlepsza zawsze gra w odkryte karty.
Wszak wiemy z bajek, że najgorsze czarty
Najpiękniejszemi wabią nas licami.
Lecz serce czuje, kto jest wróg zażarty,
Serce się nie da omamić słowami.
Nikt nigdy nie wie, co jest za kartami,
Najlepsza zawsze gra w odkryte karty.

ODBRONZAWIANIE WIELKOŚCI

Na to, co było dla nas jeszcze wczoraj
Wielkie i piękne i jak tabu święte,
Rewizjonistów rzuciła się sfora,
Achillesową wynajdując piętę.

I jakiś wyścig się zaczął koszmary
Odbronzawiania niedawnych wielkości,
Chociażby trzeba było z ziemi czarnej
Dawno spróchniałe wygrzebywać kości.

Ponad twórczości tajemniczą tonią
Każdy się bawi rzucaniem kamyków.
Nawet krytycy giną własną bronią,
Bo się znaleźli krytycy krytyków.

Pocóż kruczaty te przeciw duchowi,
By udowodnić mu niedoskonałość?
Gdy się olbrzymy stare odbronzowi,
To pozostanie nam dzisiejsza małość.

PRZESTROGA

Jeśli odnajdziesz w jakieś dobre rano,
Wśród ludzi obcych i niechętnych wiecznie,
Choć jedną duszę wierną i oddaną,
Na której możesz oprzeć się bezpiecznie,
Jak kwiat pielęgnuj ją czule i miękko
I nie odtrącaj jej brutalną ręką.

Bo możesz dożyć takiej chwili jednej,
Że sam się znajdziesz na tej wielkiej ziemi
I nikt twej głowy nie przytuli biednej,
Chociażbyś łzami zapłakał krwawemi,
I będziesz włókł się szarą życia drogą
I już nikogo nie spotkasz, nikogo.

PRAWDA NAJWYŻSZA

Czasem gdy sprawię komuś w życiu radość,
Coś z tej radości i mnie się udziela,
Jakby na życia codziennego bladość
 Wszedł blask wesela.

I wtedy oko moje jaśniej patrzy,
I świat ma dla mnie znacznie więcej czaru,
Bo ten, kto daje, staje się bogatszy
 Rozkoszą daru.

Nie żyjemy przeto jak w zamkniętej celi,
Ale w wymianie serc swych wiecznie żywej —
Kto swego szczęścia z drugim nie podzieli,
 Nie jest szczęśliwy.

**UTWORY
OKOLICZNOŚCIOWE**

RYCERZ BEZ SKAZY

Od Tatr wysokich i czerwonych Pienin
Aż po brzeg morski, tam gdzie Bałtyk grzmi,
Wszyscy święcimy dzisiaj dzień imienin
Tego, co godnym jest najwyższej czci.

Józef Piłsudski! Krótkie dwa wyrazy
A jak potężną mieszczą w sobie treść:
Postać z legendy i rycerz bez skazy,
Chwała Ojczyzny i Ojczyzny cześć.

Postać rycerza wspaniała i butna,
Z oczu stalowych patrzy moc i hart.
Z matejkowskiego jakby zesła płótna,
Z „Grunwaldu“, „Skargi“ lub „Rejtana“ kart.

Wszystkie rycerskie cnoty naszych przodków
Skupił w swem sercu nieugięty Wódz,
Gardząc teorią paktów i półśrodków,
Wiedząc, że silnie chcieć to znaczy móc.

Jak prosty żołnierz stanął On w szeregu,
Na szablę zmienił nasz żebraczy kij
I wywiódł Polskę z nad przepaści brzegu,
Pędząc do boju hasłem: więzy rwij!!

Nie zaznał nigdy spokoju słodczy,
Chociaż już dawno ucichł wojny grom,
Ale jak Tumów wielki budowniczy
Bduje w trudzie nasz ojczysty dom.

W chwilach zadumy, jak harfa Eolska
Gra Mu z dalekich pól stepowych wiatr,
Bo serce Jego, to jest cała Polska
Od brzegów morskich aż do skalnych Tatr.

W słońcu swej sławy świeci jak pas słucki
W błyskawicznych odblaskach i skrach —
Takim się jawi Marszałek Piłsudski
W pieśni, w legendzie, w marzeniu i w snach.

DZIEŃ ZADUSZNY

Gdy w dzień zaduszny podążasz na cmentarz
I na twą duszę padnie cień żałoby,
Czy w tej jedynej godzinie pamiętasz,
Jak wiele treści mają ciche groby?

Że przez śmierć tylko życie się rozumie,
Że nową formę bytu śmierć odsłania —
W zbutwiałych krzyżach, w liści zwiędłych szumie
Czytamy jeno smutek przemijania.

A przecież wszyscy, czy wielcy, czy mali,
Którzy odeszli i przepadli w głuszy,
Są między nami i żyją w nas dalej
Dziełami ludzkiej nieśmiertelnej duszy.

I chociaż groby tylu ludzi zżarły,
Myśli ich trwają już od lat tysięcy:
Wszechświat się składa z żywych i umarłych,
Lecz tych ostatnich jest o wiele więcej.

W NOC WIGILIJNĄ

W noc wigilijną jest jasności tyle
I taki bezmiar przezczystego śniegu,
Jakby umarło wszelkie zło na chwilę
Na całej ziemi od brzegu do brzegu.

W noc wigilijną nad tą białą ziemią
Srebrzysty księżyc jak opłatek świeci...
Za jego światłem serce moje leci
Nad białe pola, które w śniegu drzemią.

I patrzę z góry na spraw ludzkich małość,
Na liche kłótnie, na jałowe waśnie
I poprzez śniegów nieskalanych białość
Płynę marzeniem w księżycowe jaśnie.

Na górze gwiezdnych bezmiarów spoczynek,
U stóp mych w dole, gdzie popatrzę, wszędy,
Pałą się okna światłami choinek
I wszystkie domy dzwonią od kolędy.

I dusza moja, wszystkich miłująca,
Nad widnokręgu zawieszona skrajem,
Srebrnym opłatkiem cichego miesiąca
Dzieli się z całym ukochanym krajem.

I w ciszy nocy życzenie jedyne
Szepcę w tej chwil ustami drżącemi:
Daj wielki Boże, zanim ja przeminę,
Pokój i zgodę naszej polskiej ziemi!

MODLITWA

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
I wyróżniłeś nas pośród narodów:
Szumiące morza zbóż na polskim łanie,
Abyśmy nigdy nie zaznali głodów,
Lasy, gdzie dzikich zwierząt królowanie,
Srebrzyste rzeki wokół starych grodów,
Bajeczne góry i cud cichych polan,
Gdzie wonne trawy sięgają do kolan.

Dałeś nam dalej te skarby podziemne,
Które ulżeniem są człowieczej doli:
Pokłady węgla niby piekło ciemne
I jak śnieg białe stalaktyty soli,
Siły energii tak długo tajemne,
Póki ich ludzki umysł nie wyzwoli
I póki ludzka praca ich nie zmieni
W ogień i światło, dwoje wrogów cieni.

Dałeś nam żywość umysłu i duszy,
Serce rycerskie, junacze i mężne,
Kult dla piękności białych pióropuszy,
Ramię najbardziej silne, gdy orężne,
Dałeś nam królów-duchów i genjuszy,
Którzy nas wiodą w szlaki niebosiężne
I błyskawicą myśli piorunową
Wciąż rozświetlają nam niebo nad głową.

Gdy tak bezmierny jest skarb Twej dobroci
Żeśmy już wolni na ojczystym łanie,
Że nam Swych skarbów nie skąpiłeś kroci,
Choć Polak czasem nie zasłużył na nie,
Że Twoja łaska życie nasze złoci —
O jedno jeszcze prosimy Cię, Panie:
Daj Wiekuisty zrządzeniami swemi
Pokój i zgodę naszej polskiej ziemi!

JANOWI KASPROWICZOWI — PODZWONNE

Jesień już mamy panowie —
Bujnego lata to zdrada,
Że w wicherze ledwie sierpniowym
Najlepszy owoc nam spada.

Nadarmo stawialim straże,
Czuwali wiernie i szczerze.
Śmierć przyszła — wielka złodziejka,
A któż się przed nią ustrzeże?

Śmierć przyszła — wielka złodziejka,
Pisaliśmy o niej tyle.
Kostucho! tego jednego
Ostaw nam jeszcze na chwilę!

I przyszli dobrzy grajkowie,
Zagrali skocznie, od ucha --
Śmierci oszukać się nie da,
Serdecznych pieśni nie słucha:

Przestańcie! wiem ja co robię.
Nie darmo przybyłam w gości.
Kto zawsze słuchał wieczności,
Ten musi spocząć w wieczności.

Więc się nie martwcie panowie,
Druhowie i przyjaciele.
Na mlecznej drodze Jankowi
Cudowne łożo uścielę.

Ażeby w gwiazdy patrzyli
Za duchem Jego ludziska,
Ażeby z Gazdą Wieczystym
Nareszcie pomówił z bliska.

Ażeby w nockę sierpniową
Po wieczne słuchał tam czasy,
Jak biją mu polskie serca,
Jak szumią mu polskie lasy.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

*Jest tyle sił w narodzie
Jest takie mnóstwo ludzi,
Niechaj w nich duch Twój wstąpi
I śpiących niech obudzi.*
(Modlitwa z „Wyzwolenia“).

Przejęty wielkim smutkiem, że dusze tak się marnią,
Szukałeś wszędzie Polski ze złotą swą latarnią.

Szukałeś jej na niebie, na ziemi i pod ziemią,
Schodziłeś do grobowców, gdzie stare trumny drzemią.

Szukałeś jej wśród żywych lecz śpiących w duchu ludzi,
Próbując czy ich chochoł z martwoty nie obudzi.

I czy jej nie odnajdą po długiem, marnem życiu
Na jedną piękną chwilę w serca własnego biciu.

Nie doczekałeś chwili przez tyle lat marzonej,
Gdy zagrział róg twój złoty na cztery świata strony.

I gdy się zbudził naród po długiem lat uspieniu
I gdy potargał więzy, jak chciałeś w „Wyzwoleniu“.

A może właśnie dobrze, że wcześniej śmierć cię wzięła,
Bo znowuśmy osłabli, nie dokończywszy dzieła.

Bo znowuśmy zasnęli, jak goście na „Weselu“
I cel swój osiągnąwszy już nie widzimy celu.

Więc z cichej tej krainy, gdzie tylko szumi wieczność,
Rzuć znowu jakiś odzew w dni naszych niedorzeczność.

Jest tyle sił w narodzie, jest takie mnóstwo ludzi,
Niechaj w nich duch Twój wstąpi i śpiących
niech obudzi.

ZAMIAST NEKROLOGU

(Cieniom śp. Mieczysława Korwin Piotrowskiego).

W cichej samotni z swoją dolą smutną
Żył i pracował w cieniu zapomnienia,
Swe kolorowe rzucając marzenia
Na szare płótno.

Wyczarowywał z płótna dworków ciszę,
Gdy się winograd na ścianach czerwieni,
Tajną głąb lasów, które w czas jesieni
Wicher kołysze.

Wieczne niebo z purpury i złota,
W które modlitwa ludzkiej duszy wsiąka —
I pół bezkresność, po których się błąka
Ludzka tęsknota.

Ale najbardziej ze wszystkich tematów
Ukochał kwiaty i piękno ich danin.
Jak służka boży, skromny Franciszkanin,
Znał duszę kwiatów.

Więc, kiedy odszedł już na tamtą stronę,
Świat żałosnego nie podniesie krzyku,
Lecz posmutniały po swym malarzyku
Dworki czerwone.

Lecz zasępiły się lasy rozpaczą,
Wicher na polach bezkresnych zaszlochał
I wszystkie kwiaty, które tak ukochał
Cichutko płaczą.

LWOWSKI LISTOPAD

Kiedyż to było?

Szesnaście lat

To czasu szmat.

Nawet wspomnienie

Zapadło w cienie,

Zwiędło, jak kwiat

Nad zapomnianą mogiłą.

I tylko ten blady cmentarz,

Gdy się znajdziemy czasem

W jego pobliżu,

Woła swych krzyżów lasem

I zwiędłym wieńcem na krzyżu:

Pamiętasz?

I wtedy zjawia się znów

W pamięci ten żołnierz mały,

Który obronił Lwów

Dla Polski chwały:

Czapka większa od głowy,

Pod którą widać włos płowy

I twarz rumieni się świeża —

Karabin dłuższy od żołnierza

A na niewielkim mundurze,

Jakby ściągniętym ze starszego brata,

Na łacie łąta,

Dziura na dziurze.

Na Boga! to jeszcze dziecko.

Zaledwie je rozłączono

Z matczyną kiecką.

Czyliż potrafi ono

Obronić polski gród?

Ale w tem dziecku jakiś duch,

Który starczy za dwóch,

Ale w tem dziecku jakiś głód,

By walki otrzymać chrzest,

Pokazać rycerski gest,

Rycerskie zdobyć ostrogi.

A więc padali wśród drogi,

Jak kwiaty pod śmierci kosą,

Krwawą płaczące rosą.

Lecz z tej serdecznej krwi

Cudowny zrodził się siew:

Zwycięstwa radosny śpiew,

Wolność dzisiejszych dni.

Co było w nas do oddania,

Tośmy już wszystko oddali,

Co było do przeplakania,

Tośmy już przeplakali.

A więc patrzymy na przeszłość,

Co dziś dalekiem jest echem,

Bez łez już i bez uniesień,

Ale z tym cichym uśmiechem,

Jaki ma złota jesień.

BITWA POD WIEDNIEM

Wiedeń przez Turków z trzech stron otoczony
Przez dwa miesiące znosił oblężenie
I już zabrakło mu sił do obrony
I już z obrońców pozostały cienie,
Które podsycił i swą duszą wspierał
Starhemberg, dzielny cesarski generał.

Jedenastego września król Sobieski
Na Kahlenbergu pojawił się wzgórze —
I wnet podniosła się pod strop niebieski
Chorągiew z białym krzyżem pośród różu,
By dać znać miastu o polskiej odsieczy
W liczbie trzydziestu dwóch tysięcy mieczy.

I tylko Kara Mustafa nie wierzył
W przybycie króla i polskich pałaszy
I w piersi gońca kindziałem uderzył
Zato, że plotką jego wojska straszy,
Ale już wkrótce przeląkł się i zdumiał,
Gdy las wiedeński wojskami zaszumiał.

Nad zjednoczoną armją chrześcijańską
Objął dowództwo bohater Polonji —
Nieraz już dzierzył buławę hetmańską
W walce z Turkami, znał ich rodzaj broni,
Sposób ataku i sposób obrony,
Więc doświadczenie miał Niezwyciężony.

Planem ataku długo się nie bawił:
Niemców pchnął w centrum i na lewe skrzydło,
Na prawem skrzydle Polaków postawił,
Dając dowódcom jasne malowidło
Bitwy, co miała uratować państwo
Leopoldowe oraz Chrześcijaństwo.

Nadszedł pamiętny dzień dwunasty września —
Król się obudził o wschodzie jutrzeńki.
Jeszcze las ptaków nie zadzwonił pieśnią,
Gdy pisał sławny list do Marysienki
List „dwunastego septembris“ datowany
„O trzeciej przededniem z gór Kahlenberg zwanych“.

Chcąc bój z Turkami zacząć od modlitwy,
Pod gołem niebem Mszy wysłuchał, potem
Dopiero wówczas dał sygnał do bitwy
Armatnich strzałów potężnym łoskotem
I wojska pośród kurzawy obłoków
Jęły stępować z Kahlenberskich stoków.

Mnóstwem potyczek znaczyła się droga,
O każdy krzaczek toczono bój krwawy,
Wreszcie w doliny odepchnięto wroga,
Który się skupił do walnej rozprawy.
Czas już się zbliżył do godziny trzeciej,
Tej, co rostrzygła o losach stuleci.

Król Jan ustawił na Hernalskich wzgórzach
Pułki husarskie i pułki pancerne,
Te, które wiódł już w tyłu wojny burzach,
Te, które były niezłomne i wierne,
Siedem tysięcy tych co przysięgają,
Że na swych kopjach niebo zatrzymają.

W dole przed nimi widna jak na ręce
Turecka armja jak morze wezbrana:
Spahów na koniach czterdzieści tysięcy,
Zwarta janczarskich czworoboków ściana
I paszcze armat dymami ziejące,
Jako ogniska pastusze na łące.

Pełniąc powinność wodza i żołnierza,
Sam król na czele staje swych husarzy
W barwnym kontuszu tylko, bez pancerza,
Lecz taka jasność bije z jego twarzy,
Jakby usłyszał śpiew harfy Eolskiej,
Że owym bojem wślawi imię Polski.

Król do ataku dał znak — w jednej chwili
Zagrzmiały trąby i kotły w szeregu,
Las długich kopij do ziemi się chyli,
Drgnął mur żelazny od brzegu do brzegu
I krzyk potężny pod niebo się wzbija:
Jezus Maryja!!!

Ruszyli z miejsca, z razu lekkim kłusem,
A potem pędem jak wichur, jak burza.
Żelazna ściana ruszona przymusem
Toczy się z hukiem z Hernalskiego wzgórza,
Krusząc i łamiąc i druzgocąc srodze
Wszystko, co spotka na wytkniętej drodze.

A królewicza chorągiew na przedzie —
Rycerze w skrzydłach, szumiący jak sępy.
Dzielny porucznik Zbierzchowski ją wiedzie,
On pierwszy łamie Wezyra zastępy
I wielką bramę wśród wrogów wywala,
W którą chorągwi dalszych wpada fala.

Jako wiatr halny, zerwawszy się z jarów,
Kładzie świerkowy las patrzący w gwiazdy,
Tako się kładzie czarny mur Janczarów
Tako się wałą łany Spahów jazdy,
A ziemia bita kopytami koni
Huczy i tętni i jęczy i dzwoni.

Kto do ucieczki nie skręcił wędzideł,
Tego żelazna ściana na proch zetrze,
A od husarskich na ramionach skrzydeł
Taki szum wielki płynie przez powietrze,
Jako gdy lecą o jesiennej porze
Klucze żurawi daleko za morze.

Jak stado szczurów wypłoszonych z lochu,
Pozostawiając łupy i namioty,
Wojsko tureckie uciekło w popłochu.
Najbardziej bitne rozpiezchły się roty,
Uchodząc śpiesznie lasami i błonią
Przed lekkiej polskiej chorągwi pogonią.

A kiedy zachód krwawo — złote plamy
Rzucił na rzekę i wody wśród dołów,
W mieście otwarto postrzelane bramy,
Zagrzmiały dzwony ze wszystkich kościołów
I lud jął tańczyć z radości swawolnej
Po wszystkich ulicach — Wiedeń był wolny!

POLSKA

Jak Polska długa — tysiąc dzwonów gra mi,
Jakiż to dzień? jakaż to chwila?
Coś olbrzymiego stanęło przed nami,
Coś się wielkiego nad nami pochyła
I rzuca cień — błękitny cień,
Toniemy duszą w tym słodkim błękitcie,
Pijemy błękit ten usty pełnemi,
Nareszcie wolni i na wolnej ziemi —
 Jak cudne jest życie!!

— — — — —
Nie szukaj Polski wokół siebie
Ani na ziemi ani na niebie.
Nie szukaj jej w wieczornych łunach
Ani w piorunach,
Ale na piersi swojej rękę złóż —
Czy słyszysz serca swego bicie?
To jest Polska i tej wiernie służ
 Przez całe życie!

Choćbym na strunach grał harfy eolskiej,
Każda melodia zdaje mi się pusta,
Oprócz jedynej — bo serce i usta
 Pełne mam Polski.

Marzy się we dnie i w nocy mi dzwoni
Jak organ w niszy białego kościoła,
Rytm każdy prosi i rym każdy woła:
 Śpiewaj nam o Niej!

Przeto jak kuglarz Przenajświętszej Panny
Rzucam mych rymów błyszczące obręcze,
I z serca swego wydobywam tęczę
Światłej fontanny.

Polsce chcę służyć i sercem i piórem,
Z jej rąk chcę dostać rycerską ostrogę,
I dumny jestem, że nazwać się mogę
Jej trubadurem.

A gdy zaszumią mi skrzydła olbrzymie
Śmierci, w całunne przystrojonej chusty,
To szeptać będę krzepącemi usty
Słodkie Jej imię!

WIELKI TYDZIEŃ

Znikła muzyka i przycichła radość,
Jakaś dłoń ciężka zdławiła uśmiechy.
Przed duszą naszą stają wszystkie grzechy,
Patrząc nam w lica obwleczone w radość.

I jak potwory w Marjackim kościele,
Które Matejko zostawił nam w darze,
Swoje paskudne wykrzywiają twarze
Mówiące duszy: grzeszyłaś za wiele!

Wejdzmy w kościołów mrok szarawo-złoty,
Gdzie w niszach, ciężką przywalonych skałą,
Leży Chrystusa umęczone ciało,
Przypominając nam dzieje Golgoty.

I patrząc w Boga lica przenajświętsze,
Który na Krzyżu cierpiał za nas tyle,
W cichej modlitwie choć na jedną chwilę
Wejdzmy w najgłębsze serca swego wnętrze.

A jakaś prawda, leżąca w ukryciu
Przed duszą naszą rozsunie zasłonę,
Że wszystko będzie temu odpuszczone,
Kto wiele kochał i cierpiał w swem życiu.



SPIS RZECZY:

	str.		str.
Inwokacja	7	Sierpień życia	52
Droga i pielgrzym	8	Spacer do nieba	53
Bogacz	9	Tydzień życia	54
Gdybym miał sanie	11	Kowal	55
Stary budzik	12	Ślepiec	56
Spacer	13	Widzenie	57
Godzina zmierzchu	14	As	58
Chciałbym mieć mały sklepik z zabawkami	15	Piasek sypie się, sypie...	59
Odchodzącym	17	Sen	60
Łódzie na Dunajcu	18	Jesień	61
Ból rozłąki	19	Z czego żyję?	62
Rzeka	20	Gwiazdzisty sport	63
Liliput	21	Uśmiech dziecka	65
Marzenia	23	Dla kogo piszę	66
List do samotników	24	Dobra chwila	67
Dwie nitki	25	Gadatliwy człowiek	68
Wyspa	26	Niebo	69
Mróz	27	Dar dla najsmutniejszego	70
Poczucie pełni	28	Wyznania	71
Ciche jest serce me...	29	Kontrasty	72
Tajemnica myśli	30	Po powodzi	73
Oczy	31	Pro memoria	74
Światło uśmiechu	32	Szczęście	75
Pociągi wśród nocy	33	W lesie życia	76
Moje spichrze	34	Dzikie psy	77
Pierwszy śnieg	35	Dzieło	78
Samotność	36	Świat jest jak gród kwitnący	79
Przechodnie	37	Księga życia	80
Ofiarowanie	38	Żniwa	81
Głos wewnętrzny	39	Radość spotkania	82
Ścieżka na Rysy	40	Tatry o zachodzie	83
List do Kornela	41	Otwarcie drzwi	84
Kometa	42	Modlitwa o śnieg	85
Rozbiegły się moje rymy	43	Miłość zwycięża	86
Obrazek wiosenny	44	Praca myśli	87
Ecce Homo!	45	Don Kichot	88
Brylantowa droga	46	Diogenes	89
Noc letnia	47	Wiosnę już mamy panowie!	90
Człowiek	49	Siedząc w fotelu	91
Posucha	50	Zgubiony sierp śmierci	92
Gospoda	51	Na łące	93
		Mowa starych sprzętów	94

	str.		str.
Pośpiech twórczości	95	Uśmiech	145
Lotnicy	96	Czem są te wiersze?	146
Bajka zamarznętych okien	97	Perła nocy	147
Lekarz	98	Tor kolejowy	148
Chochłoły	99	Biały domek	149
Prawda	100	Natura człowieka	151
Aleja dumań	101	Ona	152
Rybak	103	Pociecha	153
Rekwizytornia życia	104	Handlarz balonów	154
Godzina	105	Moje „confiteor“	155
Stłuczone zabawki	106	Lubię wieczornej godziny sa- motność	156
Narciarz	107	Przemysłania	157
Ucieczka	108	Trochę uśmiechu	158
Stacje	109	Wierszyk w dzienniku	159
Pytania	110	Idę przy tobie...	161
Wyładowanie	111	Ruina	162
Z czego żyję?	112	Spotkanie	163
Organy nocy	113	Zbrodnie letniego wieczoru	164
Jesień w tym roku...	115	Dzieci w ogrodzie	165
Wołanie chwili	116	Akord	166
Pająk	117	Piękna starość	167
Wyrozumiałość	118	Zwycięzające życie	168
Głosy tęsknoty	119	Wizyty	169
Spokój	120	Spacer po lesie	170
Rozmyślenia	121	Posłanie	171
Ci, którzy się nie znajdują	122	Ciągłe za tobą odwracam swą głowę	172
Złota gościna	123	Mowa rąk	173
Pogoda	124	Żniwa	174
Staw	125	Oczekiwanie	175
Różaniec życia	126	Okna kamienic	176
Lepsze życie	127	Myśli	177
Spowiedź	128	Skończone dzieło	178
Jedno ludzkie serce	129	Spacer z chartem	179
Lęk przed śmiercią	130	Słota	180
Twarde i miękkie	131	Cudne są letnie wieczory	181
Mówić czy słuchać?...	132	Ton wieczności	182
Sanna	133	Nasze hieroglify	183
Dwoistość	134	Nadmierna miłość	185
Bezsilność	135	Coś niby erotyk	186
Muzyka drukarni	136	Srebrna meta	189
Chmura	137	Bluszcz	191
Dwie jazdy	138	Dla siebie więcej nie pragnę niczego	192
Gipsowa maska	139	Wszzechobecna	193
Wiosenny poranek	140	Posłanie	194
Pierwszy śnieg	141		
Nastrój jesienny	142		
Wizyta	143		

	str.		str.
Odjazd	195	Zanim na zbiórkę duchów	
Wieczorny śpiew pasieki	196	dzwon uderzy	245
Zabawy z wnuczką	197	Anonimy	246
Oddanie	198	Dwa psy	247
Moja wnuczka	199	Rada dla małżonków	248
Chwila	200	Wolność	249
Poranek w górach	201	Dobra rada	250
Lilje	202	Dwa typy	251
Świerszcze	203	Gdzie tylko mogę, ludziom	
Moja pasieka	204	dobrze czynię	252
Ule w śniegu	205	Ludzka menażerja	253
Najjaśniejsza wizyta	206	Dwojaka wielkość	254
Coż ja ci powiem?	207	Trochę prawdy	255
Chart	208	Pochwała skromności	256
Mój rym na dzisiaj	209	Gdy z kim rozmawiam, pa-	
Pierwsze słowo	210	trzę w jego oczy	257
Szarzyzna jesieni	211	Plotka	258
Moja godzina	212	Nil desperandum!	259
Rozkosz wywczasów	213	Dwie zwrotki	260
Nastrój	214	Refleksje	261
Jabłonka	215	Wszystkim na świecie dziś	
Miodobranie	216	źle jednakowo	262
Oczy kota	217	Dobra rada	263
Jak miło witać się, jak ciężko		Zgubiony klucz	264
zegnać	218	Człowiek wciąż marzy	
Trzej gratulanci	219	o czemś...	265
Wieczorem	220	Jeśli masz w życiu okres	
Kotek na werandzie	221	powodzenia	266
Kaktusy	223	Słowa kłamliwe	267
Gdy cię nie widzę...	224	Odbronzawianie wielkości	268
Bajka kwitnącego sadu	225	Przestroga	269
Maki czerwone	227	Prawda najwyższa	270
Bukieciak fiołków	228	Rycerz bez skazy	273
Biedaki wiosny	229	Dzień Zaduszny	275
Morza nie damy!	233	W noc wigilijną	276
Nasze morze	234	Modlitwa	277
Na Helu	235	Janowi Kasproviczowi —	
Pod żaglem ciemnobronzo-		podzwonne	279
wym	236	Stanisław Wyspiański	281
Dwuśpiew	237	Zamiast nekrologu	282
Kosodrzewina na Helu	238	Lwowski Listopad	283
Latarnia morska	239	Bitwa pod Wiedniem	285
Wiatr hałny nad morzem	240	Polska	289
Gąska nad morzem	241	Wielki tydzień	291
Pożeganie z morzem	242		

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314368



000-314368-00-0